

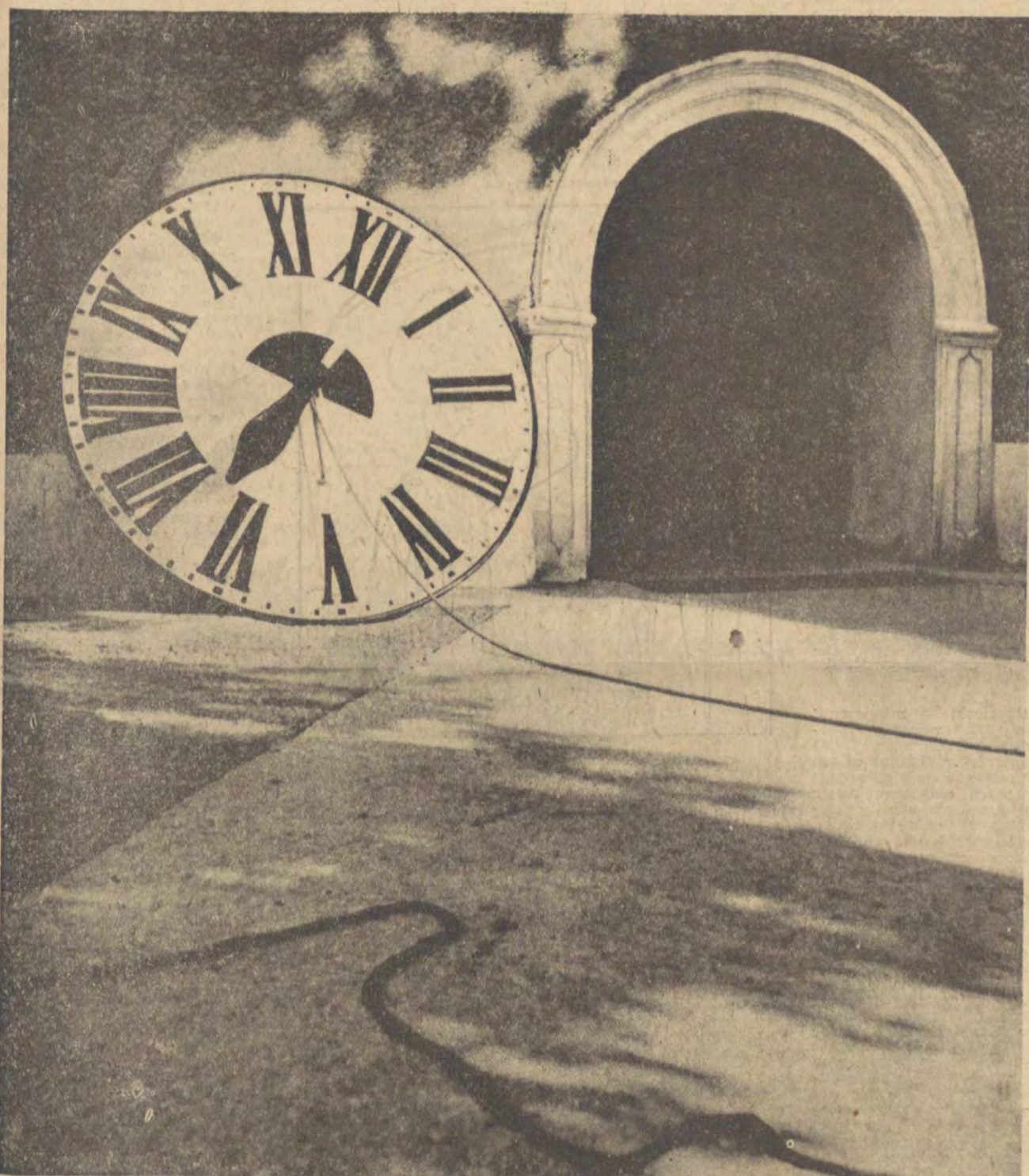
Dziś w numerze: **O rekrutacji polemicznie** • **Austriacy w Spale** • **Posucha w Estradzie** • **Kanikuła a film polski** • **Walczę z systemem dwulicowości...** • **Spokojny Amerykanin** • **Felietony** • **Recenzje** • **Polonica**

O dąłossy



Nr 34 (396)
28. VIII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



KONRAD FREJDLICH

PRAWO TO BRZMI DUMNIE

INTRODUKCJA

Będzie to opowieść o zdarzeniu tak nietypowym, że większość z Was może ją uznać za wytwór fantazji niefrasobliwego autora, którego trzymają się niewczesne, makabryczne żarty. Ci jednak, którzy uczynili mi zaszczyt zapoznania się z moimi wcześniejszymi publikacjami, ogłoszonymi chociażby na tych samych łamach, przyznają chyba, że nie mam zamilowania ani do satyry, ani do groteski. Jeśli więc opowieść rozpoczęta tytułem zastrzeżeniami przechylili się nieco w tę stronę, miejcie pretensję do zdarzeń, nie zaś do autora, który ani razu nie wyjdzie poza relacjonowanie faktów. Jego rola ogranicza się tu zresztą wyłącznie do pominięcia nazwisk zainteresowanych, ułożenia wszystkiego w

opowieść o trzech metrach kwadratowych placu, a także do zrobienia odpisów z dokumentów i cytowania ich w odpowiednich miejscach. Odpisy te zostały zrobione z szacunku dla prawa, prawo bowiem brzmi jak w tytule reportażu.

ANKIETA PERSONALNA

Kobieta ma chyba lat około czterdziestu, chociaż na pierwszy rzut oka robi wrażenie starszej. Dopiero, kiedy się przyjrzeć, pojmuję się po jakiejś chwili, że twarz jej nie jest zniszczona, tylko naznaczona troską. Kiedy mówi, głos ma matowy, czuć w nim zmęczenie. Nie dziwnego, życie jej nie oszczędzało. Od najwcześniejszych lat, uśmiecha się smutnie.

Urodziła się w rodzinie robotniczej jako trzecie, już nie tak bardzo pożądane dziecko. Po niej przyszło na świat jeszcze jedno i wtedy ojciec poważnie zaniemógł. Matka musiała wziąć na siebie cały ciężar utrzymania sześcioposobowej rodziny. Dzieci chowały się, jak Bóg da, wcześniej poszły pracować do ludzi.

Jej nie ominął los rodzeństwa. Dzieciństwo skończyło się po 3 klasach szkoły podstawowej. Potem

przyszło jeszcze gorsze: okupacja. Wywieziono ją do Niemiec.

Kiedy „wybuchła” Polska Ludowa była już w kraju. Miała wtedy około dwudziestu lat. Przez cztery pierwsze lata położyła swoich kilka cegiełek w budowę nowego zapracowując się w fabryce. Potem wyszła za mąż i pracowała już nie tylko dla kraju, ale i na chłopa. Małżeństwo to przyniosło jej sporo długów i pięcioro dzieci, z których jedno zgine pod kołami tramwaju. Mąż, który od czasu do czasu odjeżdżał na rok dwa, teraz zdaje się wyniósł się na dobre. Mija właśnie pięć lat, jak po raz ostatni pakował walizki. Dzieci nigdy nie interesowały się, tym bardziej więc nigdy na nie groszą złamanego nie wydał.

Sama pracuje na pięcioposobową rodzinę. Ze względu na chorobę serca i chorobę trzustki musiała rzucić zajęcie w fabryce na mniej popłatne. Pracuje jako dozorczyńca pensją miesięczną 1300 zł plus 300 zł dodatku rodzinnego. Przed czterema laty otworzyły się przed nią perspektywy pewnej poprawy lo-

JERZY URBANKIEWICZ

W kraju zakwitających agaw

Kiedy otwiera się jugosłowiański szlaban graniczny, słońce południa uderza tak oślepiającym blaskiem, że wszyscy sięgają po ciemne okulary i odtąd będą je zdejmować wtedy tylko, kiedy zaszczytnie słońca, adriatycka woda i trzeba będzie oczy przetrzeć. W blasku tego słońca wyraziście rysują się podstawowe z napotkanych problemów, a mimowolnie (jeśli nie dotykać innych) problemy: dinara, Zastawy i melona.

Przed kilku laty przewartościowano pieniądź jugosłowiański w ten sposób, że sto dinarów starych uryskało wartość 1 dinara nowego. Jakos ta reforma nie przeniknęła głęboko w życie kraju. Wszyscy bowiem liczą po staremu, to znaczy — kilogram winogron kosztuje 500 dinarów (starych) zamiast 5 (nowych), a i w obiegu trudno spotkać banknoty nowe. Jedynie, jeśli ktoś oferuje komuś rzecz lub usługę, to zachęca, mówiąc, że żąda zaledwie 4 dinarów. Ma oczywiście na myśli — nowe. Zresztą — stosowanie podobnych wybiegów nie jest wyłącznie specjalnością Jugosławii. Kto miał w Polsce do czynienia z rzemieślnikami, zwłaszcza z dowcipnymi, mógł również na pytanie: „Ile płacę?” usłyszeć: „Dwa i pół złotego”, choć w rzeczywistości chodziło o dwieście pięćdziesiąt. Tak czy owak, po staremu licząc lub po nowemu, problem polega na braku dinarów zarówno starych jak i nowych. Ratunek stanowi owe coś, co tkwi w słowiańskich duszach, a skutkiem czego w wąziutkich uliczkach dalmatyńskich miasteczek zawsze znajdzie się ktoś, kto na dźwięk polskiego słowa zapyta, co jest do sprzedania, a używająca języka polskiego dusza słowiańska zawsze znajdzie w tutażych tłumoczkach coś, co do czego udaje się zwykle uzgodnić cenę, a w sposób taki problem dinara staje się mniej dotkliwy.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba do Dalmacji dojechać. Pędzi się więc przez zielone równiny, potem sosnami obrósłe góry każą wspomnieć o dalekiej ojczyźnie (z własnym w niej łóżkiem i problemem złotówki), wreszcie zza sosen wywala się kamienne usypiska martwych, prawie niczym nie porośniętych gór Dynarskich, a w godzinę później błysnie gładka toń Adriatyku poza murami Rijeki. To tutaj zaczyna się Słoneczne Wybrzeże z własną Rivierą, własną Maderą i własną wyspą Capri i tu zaczyna się szaleństwo Adriatyckiej Autostrady przylepionej jak półka do skalnych zboczy. Po jednej stronie auto trze się o różową ścianę skały, w której szosę wykuto, a drugiej — kamienne słupki z kamiennym spokojem przypominają kierowcy, że tuż za nim — przepaść. Zabawę można zacząć od Rijeki, a jeśli kto woli, to jeszcze wcześniej, od samego Triestu. Wygląda zaś następująco. Serpentina autostrady, licząc od Triestu do Dubrownika ma około 700 km długości. Nizinną szosą, wylęczoną mniej więcej prosto, można by tę przestrzeń przebyć, nie męcząc się zbytnio — w 2 dni. Tu zakręt od zakrętu dzieli przestrzeń zaledwie 50-100 metrów. Raz w lewo, raz w prawo, często jest to już nie zakręt, a niemal pełne koło, ozdobione nierzadko plakatami z dłońmi kościotrupa, nawołującym do ograniczenia szybkości. Podróż, odbywana z tzw. bezpieczną szybkością trwałaby wieki. To też kierowcy starają się wyciągać z wozów maksimum, a waha się ono od 80 do 90 km/godz. W sezonie leci po autostradzie tyle wozów, że stanowią one dwa nieprzerwane sznury mknące w dwóch przeciwnych kierunkach, przy czym odstęp pomiędzy wozami wynosi 100-200 m. Te, które lecą z południa na północ, mają lepiej, bo trzymają się skalnej ściany. Koła podążających na południe skowyczą na zakrętach, tuż nad przepaścią, ale jadący mają za to przepiękny widok na skalisty brzeg Adriatyku i bajecznie kolorową toń morza. Oczywiście, kierowca dowiaduje się o cudach przyrody z relacji pasażerów, gdyby bowiem spróbował doznać wrażeń estetycznych sam, wrażenia te przekroczyłyby jego najśmielsze oczekiwania. Patrzy więc w duże „D” pędzącego przed nim „Opla” i pracuje z wydaźnością znacznie przewyższającą całoroczną, nieurlopową. Dla nas, więc sznur samochodów, który śmiga po skalnej półce, ale oto coś się zaczyna psuć w ustalonym porządku. Z przodu, po drugiej stronie zatoki widać, że kilka wozów stworzyło ciasny rząd. Po minucie dobijamy do niego i my, nas doganiają inne wozy i sznur wydłuża się z minuty na minutę. Przyczyna podobnej perturbacji leży zazwyczaj w samochodzie marki „Zastawa 750”, który jedzie na przodzie kolumny i nie może szybciej. Ze zaś zakręty zasłaniają widoczność, jedzie to wszystko kupa, wyprzedzając odrobinę dłuższego odcinka drogi, na którym da się śmignąć do przodu. Czasami drogę zastawiają też ciężarówki lub volkswageny. Temat: „samochód jako taki” zaprzęta dziś wiele głów. Problem ten widziany z wysokości gór Dynarskich wygląda następująco: samochodem chyba najczęściej spotykanym na Autostradzie Adriatyckiej jest Skoda 1000 MB, ze znakami polskimi, czeskimi, austriackimi, jugosłowiańskimi i innymi. Mnóstwo Opli, Taunusów, Peugeotów, sporo pięknych wozów włoskich. Dość rzadko dostrzeżę się „Octavię” czy „Moskwicę”, widziałem ze dwa „Wartburgi”, jedną „Warszawę” i — chwala ci Zeraniu! — trzy Syreny, które dobrnęły na samo południe i — sądzić należy — bezpiecznie wróciły do baz.

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 4

Reklama jest nie tylko dziwną handu, jest ona, jak się to okazuje na podstawie przeprowadzonej przeze mnie obserwacji moich przyjaciół i wrogów, psychiczną potrzebą człowieka. Jest także, co gorsza, także moją potrzebą, dlatego na przykład rozreklamowałem ten felieton w tytule jako traktat, chociaż nie jest ani rozprawą naukową, ani międzynarodową umową i nie stanie się jedynym, ani drugim nawet po mojej śmierci wiążącym do kolejnego tomu dzieł zbiorowych. Reklamuję więc z kolei moje dzieła zbiorowe, których nie ma i nie będzie, ale cóż mi to szkodzi. Wszak reklama w naszych warunkach dotyczy zwykle rzeczy, których nie ma, lub właściwości których ta rzecz nie posiada i nikt nie grzmi, nikt się nie burzy, więc dlaczego mnie nie miałyby to ująć na sucho. Moji mili, takj proceder można zupełnie bez konsekwencji towarzyskich, a co gorsza prawnych uprawiać całymi latami. Znam na przykład człowieka, który się we wszystkich możliwych i niemożliwych miejscach przedstawia, jako największy pisarz w mieście. I proszę sobie wyobrazić nikt nie wziął go za słowo, nikt nie zażądał od niego, aby napisał wreszcie książkę, którą przyjaciele pisarza będą mogli cisnąć w twarz oszczercom kwestionującym wzruszeniem ramion tę wyjątkową pozycję geniusza w miejskiej literaturze. Ja też tego nie zrobię, nie ze strachu, że zostanie przez niego tak fatalnie opisany w następnej książce, że mi to odbierze chęć do dalszego życia, tylko z szacunku dla autoreklamki. Co by się bowiem nie rzekło, autoreklamiarz posiada sporą dozę cywilnej odwagi, rąbie prosto z mostu wszystkie niespełnione marzenia nie bojąc się patrzeć ludziom w oczy, a ponieważ każdy z nas chowa w zanadrzu nie-szczerość cudzą szczerość poparta tupetem przygniata nas no prostu do ziemi.

O wiele bardziej zastępuje na naganę wciska-

Traktat o reklamie

Jacy się nachalnie do reklamiarstwa konformizm. Każdy z nas pamięta z dzieciństwa głupi wierszyk „Samochwała w kącie stała” i tak się tym przejmuję, że woli się wyręczyć ciocia, babcia, wujkiem, zamiast samemu, po męsku, urbi et orbi głosić swoje zalety, czy nawet przywary, pod warunkiem, że są sympatyczne. Jak ważne jest umiejętne wygrzywanie sympatycznych wad, mógłby dokładniej sprecyzować ktoś, kto lepiej ode mnie wyzna się na tomizmie. Jako absolutny ignoranc, coż mi szkodzi rozreklamować i tę moją zaletę, powiem krótko, że enoty, jak brylant, potrzebują odpowiedniej oprawy. Tak więc podkreślając w rozmowie ze zleniawionym wrogiem swoją subtelność, moralne życie i poszanowanie prawa nie zaszkodzi przy okazji zagrozić mu, że przy pierwszej okazji zostanie zastrzelony przez nas z rewolweru, jeśli to będzie broń z powstania 1863 roku, bo historyczne militaria wzbudzają uczucia patriotyczne i odwrócą uwagę od faktu, że tak czy inaczej „ozi się komuś odrażającym mordem. Oczywiście konformista zawsze w takim wypadku wyreczy się kimś z rodziny, czy w skrajnym przypadku przyjacielem, lub też kimś kogo reklamuje jako swego przyjaciela nr 1, ma ich bowiem tak wielu, że musi im nadawać numery, podobnie, jak wrogom. Znam zresztą ludzi, którzy w sprawach o wiele mniejszej wagi niż groźba zamordowania człowieka, reklamują swoje zalety poprzez kuzynów, kuzynki, a co gorsza nie szczędzą własnych żon, czy własnych mężów. Jako dziennikarz, pragnę teraz rozreklamować swoją profesję, jako dziennikarz więc, powtarzam, mogę sobie wyobrazić przeprowadzenie wywiadu z własną żoną, w którym to wywiadzie wychwałabym, albo jej zalety, albo też nadzwyczajność tego, co ona robi, ani słowa nie wspominając, że nam w magistracie dawno ręce przewiązali stulą, bo wtedy by to wyglądało albo na konformistyczną autoreklamę, albo, co może jeszcze gorsze na protekcyjnalizm, któremu społeczeństwo nasze dawno wydało walkę. Jeśli się przy tym okazało, że moja żona także trudni się dziennikarstwem, w jej pióro z kolei mógłbym włożyć własną autoreklamę, bo przecież zawsze znajdzie się jakaś przyczyna do przeprowadzenia wywiadu. Kiedy zaś żadnej przyczyny nie ma, albo potrzeba autoreklamki mimo to istnieje, najlepiej w takim wypadku stworzyć pozory obiektywnej, obojętnej notatki prasowej. Wiele obiecujący przykład tej właśnie drogi dała ostatnio jedna z gazet reklamując jako ultracud-bestseller debiutancki tomik opowiadań, po który zalecała śpiesznie stanąć w kolejce, żeby go broni Boże nie zabrakło dla spragnionych i potrzebujących. Jako wytrawny bibliofil, jeszcze jedna próbka autoreklamki, wiem jednak, że bestsellerów nie trzeba ogłaszać w prasie, znikają bowiem i to spod łady, szybciej niż trwa nadanie iskrowki z Łodzi do Warszawy, co nie jest zarzutem pod adresem czałej poczty tylko zbyt niskich nakładów. Ten fenomen z reklamowanym tak bestsellerem dziwił mnie czas jakiś, dopóki nie zauważyłem, że autor książki jest stałym pracownikiem gazety, co jednakże ta gazeta starannie przemilczała. Mam nadzieję nie dlatego, że obawiała się straty tych swoich czytelników, którzy zachęeni ekscytującą notatką kupili książkę i przeczytali, stwierdzając, że nie mają ochoty nigdy bezpośrednio, czy też pośrednio spotkać się z jej autorem. I pewnie nigdy się tego nie dowiem.

JERZY DARNAL

Tkronika TYGODNIA

◆ Źródła amerykańskie podają, iż dzięki pomocy ZSRR, Wietnamska Republika Demokratyczna posiada obecnie jeden z największych i najbardziej skutecznych systemów obrony przeciwlotniczej na świecie. Obecnie — pisze amerykański magazyn „Newsweek” — lotnicy amerykańscy często napotykają na prawdziwy mur z ołowiu starżany przez 85 mm i 100 mm działa przeciwlotnicze, strzelające ogniem zaporowym. W miejsce oficjalnych określeń natężenia ognia przeciwlotniczego takich jak lekkie, umiarkowane i gęste, lotnicy używają swej własnej terminologii w rodzaju: „gestv, nie do znieślenia, uciekajmy stąd do diabła”.

◆ Dziennik włoskich komunistów „Unita” uważa, iż trwająca aktualnie w Chinach tzw. kulturalna rewolucja jest wynikiem starcia się dwóch różnych tendencji wewnątrz KPChin i jej grup kierowniczych, jest rezultatem prawdziwego i istotnego zwrotu w polityce chińskiej, wynikiem nowych i ważnych decyzji.

◆ Paryski „Le Monde” smuje przypuszczenia iż w ostatnich latach udało się z Jugosławii na emigrację zarobkować około 350 tys. robotników.

◆ Joseph Kraft — publicysta amerykański: Nastroj panujący obecnie w Waszyngtonie nie jest liberalny, ani konserwatywny, republikański, ani demokratyczny, narodził się międzynarodowy i nie odpowiada, ani poglądom prezydenta, ani Kongresu. Nastrojem panującym jest bezsilność.

◆ W NRF nasila się fala krytyki pod adresem kancelarza Erharda. Ostatnio nawet prasa chadecka i katolicka nie szczędzą cierpkich i najbardziej dosadnych określeń szefowi zachodniemieckiego rządu. Pismo „Rheinischer Merkur” zarzuca Erhardowi „zły styl polityczny” a katolickie „Echo der Zeit” głosi, iż „wybiła decydująca godzina dla CDU”.

◆ Radziecki miesięcznik „Nowy Mir” wprowadził nową rubrykę pod nazwą „Bez komentarzy”. Inicjując ten dział pismo wyjaśnia: redakcje starych czasopism rosyjskich przedrukowywały ciekawą, ale bez żadnych wyjaśnień lub uwag polemicznych utwory, które zamieszczano w innych publikacjach. Stanowiło to najczęściej jedną z metod polemiki literackiej. W tych przypadkach redakcje czasopism kierowały się bezbłędną rachubą, że ich czytelnicy potrzebują bez żadnych komentarzy należycie ocenić przedmiot. Oto fragment publikacji, którą ukazała się w dziesięciu „Krasnaja Zwiezda”, a zamieszczona pośród innych w nowym dziale miesięcznika: „W Sewastopolu panuje zdrowy ład ideowy. Nie uda się więc przemyśleć kontrabandy ideologicznej... Tutaj fraudujące wiersze supermodernych poetów skazane są z góry na

niepowodzenie. Nie zostaną tu zrozumiane, a ich autorów po prostu się wygwizdzą. Tak, tak...”

◆ W Brazylii narasta konflikt między duchownymi katolickimi a władzami wojskowymi. Te ostatnie dają do zrozumienia, iż wielu księży katolickich staje się... komunistami. Liberalni przywódcy kościoła katolickiego natomiast zaprzeczają istnieniu wpływu komunistycznych wśród księży, przyznają, iż narasta społeczna świadomość wśród szerokich rzesz katolików.

◆ Według opinii amerykańskiego specjalisty z waszyngtonskiego Instytutu Analiz Wojskowych, siły amerykańskie w Wietnamie południowym w liczbie 675 tys. mogłyby doprowadzić wojnę do „pomyślnego końca” w ciągu sześciu lat, lecz jedynie za cenę strat w wysokości 100 tysięcy żołnierzy.

◆ Dziennik „Le Monde” podaje, iż rząd i parlament jugosłowiański przysięgają drugie stadium reformy gospodarczej, która rozpocznie



„Melduję 250.000 ludzi do dyspozycji”

się mniej więcej na początku 1967 roku. Jednym z głównych elementów tego stadium reformy będzie nowe ustawodawstwo w dziedzinie handlu zagranicznego. Przewiduje się m. in. stopniową liberalizację importu. W efekcie oczekiwane jest zaostrzenie konkurencji na rynku wewnętrznym. W ten sposób przedsiębiorstwa jugosłowiańskie staną w obliczu wyboru: albo ulepszyć jakość produkcji, zwiększyć wydajność pracy i obniżyć ceny, lub zlikwidować się...

◆ 3 listopada br. wygasa mandat obecnego sekretarza generalnego ONZ U Thanta. Szerog delegacji afro-azjatyckich reprezentujących 61 kra-

ją tych kontynentów zwróciło się do sekretarza generalnego z prośbą, aby pozostał na swym stanowisku. Z taką samą prośbą zwrócili się wcześniej do U Thanta przywódcy ZSRR, USA, W. Brytanii i Francji. Jak dotąd U Thant nie udzielił odpowiedzi na powyższe prośby.

◆ Ambasador amerykański w Paryżu Bohlen prowadzi rozmowy z ministrem Couve de Murville na temat uzależnienia NATO na terytorium francuskim. W Waszyngtonie ocenia się dotychczasowy przebieg rozmów sceptycznie. Mówi się, iż rząd francuski zajmuje „twarde” stanowisko.

◆ W Pekinie odbył się wielki wiec ludności na cześć proletariackiej „rewolucji kulturalnej”, w którym udział wzięli czołowi przywódcy ChRL z Mao Tse-tungiem, Lin Piao, Siu Szao-tsi, Czu En-lajem, na czele. Główne przemówienie wygłosił minister obrony, marszałek Lin Piao. Z faktu tego korespondenci zachodni wnioskują, iż następcą Mao Tse-tunga będzie marszałek Lin Piao.

◆ Prawicowy działacz polityczny Brazylii, Carlos Lacerda, który brał aktywny udział w obaleniu rządów prezydenta Goularta w 1964 roku, wystąpił ostatnio z ostrym atakiem przeciwko reżimowi obecnego prezydenta generała Castello Branco.



Bombardowanie Wietnamu

◆ Brytyjskie Ministerstwo Zdrowia podało do wiadomości, iż na przestrzeni ubiegłego roku w Anglii zmarło na raka płuc 29.377 osób. Od roku 1960 liczba zachorowań na raka płuc wzrasta średnio o tysiąc przypadków rocznie. Główną ze znanych przyczyn zachorowalności jest palenie tytoniu.

◆ W jednym z londyńskich pensjonatów goście są zobowiązani do utrzymywania porządku w pomieszczeniach, które zajmują. W prospekcie reklamowym właściciel pensjonatu zapewnia: „Pobyt u nas — to prawdziwa rozkosz. Goście nie mają powodu do irytacji na złą obsługę”.

◆ W Stanach Zjednoczonych rozważana jest możliwość objęcia nauką szkolną dzieci już z czwartego roku życia, kiedy chłonność umysłu dziecka jest najwyższa. Koncepcja powyższa rozważana była w gronie specjalistów pedagogów i przychylnie przyjęta przez prezydenta Johnsona. Obecnie wyłonili się problem środków na wprowadzenie nowego systemu w życie.

◆ Według danych statystycznych będących w posiadaniu ONZ, w Etiopii jeden lekarz przypada na 100 tys. mieszkańców, w Górnej Wolicy na 80 tys., w Togo na 50 tys., w Somali i Dahomeju na 30 tys.

Pesymista w naszych czasach to człowiek, który ma rację, ale bez żadnej płynącej z tego satysfakcji.

EDWARD TELLER, FIZYK ATOMOWY

◆ Premier Wilson przygotowuje się do podjęcia pertraktacji z samowładnym, rasistowskim rządem w Salisbury. Uważa się, iż kunktor-ska polityka Londynu musi choćby dla zachowania pozorów ulec pewnej zmianie wobec zbliżającej się we wrześniu konferencji szefów rządów Wspólnoty Brytyjskiej.

ZYGMUNT ALBRECHT

Znaczenie pracy adwokata dla kultury

Jak można wnosić z przebiegu obrad w sejmowej Komisji Kultury i Sztuki, Kongres Kultury Polskiej zapowiedziany w czasie od 7 do 9 października br. będzie jedną z ważniejszych imprez kończących imprezy milenijne.

Według założeń zadaniem Kongresu będzie nie tyle dokonanie przeglądu historii naszej kultury, ile pobudzenie aktualnej inicjatywy kulturalnej i wywołanie w tej dziedzinie zainteresowania w całym społeczeństwie. Jeden z posłów podkreślił, że Kongres ma się zająć oceną miejsca i roli kultury polskiej w świecie, jej dorobku, jej funkcji społeczno-wychowawczej, a także określić w ogólnych

zarysach jej przyszły rozwój.

Wywiad z ministrem Kultury i Sztuki „Dziennikarz” rozpoczyna zdaniem: „Ponoć rozmawiać o kulturze, to rozmawiać o wszystkim...” Minister potwierdzając nieśmiało to zdanie, a zarazem chcąc jednak zakreślić granice rozmowy, odpowiada: „Pojęcie kultury wiąże się ściśle z kulturą pracy i życia społecznego, z rozwojem naszej ludzkiej wrażliwości, z podnoszeniem poziomu naszej wiedzy o nas samych i otaczającym nas świecie, z rozwojem ambicji i inicjatyw, ze wzrostem poczucia społecznej odpowiedzialności, z socjalistyczną kulturą współżycia między

ludźmi...” — Istotnie definicja piękna, nie dlatego, że minimalistyczna, lecz że literacka i oddająca istotę tego, co rozumujemy przez kulturę. Literackość nie jest tutaj zarzutem. W rzeczywistości nie ma my powszechnie uznanej naukowej definicji kultury. Występuje tu niejako „konkurencyjnie” cywilizacja. Te dwa pojęcia podlegają różnym przekształceniom. W przeciwieństwie do takich też, jak: „Kultura — mieczem człowieka zawieszonym nad przynodem” i „cywilizacja — mieczem człowieka zawieszonym nad nim samym”, twierdzono, że kultura to wewnętrzne przemiany człowieka, cywilizacja zaś, to przemiany tego środowiska materialnego. Jest pewne, że pojęcia te zachodzą na siebie, a Kongres sprzecyżuje we właściwym zakresie swoje zadania. Dla swoich uwag przyjmuję tradycyjnno pojęcie kultury na duchowa (osiągnięcia w nauce, sztuce, organizacji życia społecznego, politycznego, moralności i obywatelstwa) oraz materialna.

wytworów kultury i dla nawiązania do hasła organizatorów Kongresu, oczywiście przy zachowaniu wszelkich proporcji.

Według brzmienia ustawy adwokatura współdziała z sądami i innymi organami państwowymi w zakresie ochrony porządku prawnego Polskiej Rzeczywspolitej Ludowej i powołana jest do udzielenia pomocy prawnej zgodnie z prawem i interesem mas pracujących.

Adwokatura stanowią adwokaci, ich wiec indywidualna działalność zawodowa winna odpowiadać zadaniom obowiązuającym adwokaturę, zadaniami mieszczańskim się w kregu kulturowym według ludzkiego podziału — kultury duchowej. Adwokat ma przeto szanse, aby nie tylko przestrzegać osiągniętego już w społeczeństwie poziomu kultury, lecz w miarę swych możliwości kulturę tę podnosić. Znowu także trafna wydaje się tutaj rekena ministra: kultura w technice pracy, polebienie wiedzy, inicjatywa, ambicja, poczucie odpowiedzialności, socjalistyczne współżycie między ludźmi.

JAN PAKUŁA

O rekrutacji polemicznie

„Jak pan śmie nie przyjąć syna na studia! Mój mąż jest człowiekiem zasłużonym. Ja jeszcze pana nauczę, do Gomulki napiszę”. — Przytoczyłem dokładnie treść typowej niestety „rozmowy” z rektorem łódzkiej wyższej uczelni, której nazwy ze zrozumiałych względów nie śmiem wymienić. Jest to jedna z setek rozmów, na które w okresie rekrutacji do szkół wyższych narażeni są rektorzy, dziekani, przewodniczący wydziałowych i uczelnianych komisji rekrutacyjnych, ba, nawet wszyscy, którzy mają z uczelnią cokolwiek wspólnego.

Rok bieżący wcale nie był pod tym względem lżejszy od poprzednich, przeciwnie po raz pierwszy w bramy uczelni uderzyła pełna fala wyżu demograficznego. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, które z niezmienną intensywnością trwać będzie przynajmniej sześć lat. Dlatego nie ma się co ludzi, sytuacja taka będzie istnieć długo i rzeczywiste konflikty, a nawet pojedyncze tragedie powstałe na tym tle są nie do uniknięcia. Mamy bowiem do czynienia ze zjawiskiem społecznym, które nie jest udziałem tylko naszego kraju, chociaż występuje ono ze względu demograficznych u nas może ostrzej.

Zresztą nie trzeba powtarzać, że w Polsce Ludowej młodzież ma wyjątkowo szeroki dostęp do nauki. Nie kwestionują tego nawet ludzie niechętnie ustosunkowani do naszego ustroju. W tym względzie nasza młodzież jest rzeczywiście uprzywilejowana w porównaniu z jej rówieśnikami w krajach zachodnich. Nie oznacza to jednak, że po wspomnianej przywileju może ona sięgnąć niejako automatycznie i bez wysiłku. Dodatkowe komplikacje wprowadzają współczesne przeobrażenia społeczne, które awansowi przez naukę nadają nowy sens. Na przykład, z natury ogólne hasło walki „o szeroki dostęp do nauki” wywodzi się z czasów w których zdobycie jakiegokolwiek wiedzy było niezwykle utrudnione, a pragnienie jej posiadania wielkie, a zostało utrwalone w okresie, kiedy w rezultacie przełamania znacznych trudności wytworzył się taki podkład do nauki, że chciano się uczyć czegośkolwiek, że zdobywano wiedzę z jakiegokolwiek dziedziny, aby po prostu wiedzieć więcej o świecie niż się wie, lub aby wiedzieć więcej niż inni.

Oczywiście, w dobie powszechnego rozwoju środków komunikacji, rozkwitu i szerokiego upowszechnienia kultury ten sposób realizacji prawa do nauki jest coraz rzadszy. Czyniąc współczesny opanowanie określonej dziedziny wiedzy, dąży do zdobycia konkretnego zawodu. Przy tym motorem działania, jak wiadomo, nie jest głównie chęć zdobycia wiedzy, ale określenie zawodu, a przecież to niepełnie to samo. I tutaj już zaczyna się pewna komplikacja. Wiadomo, że ilość osób potrzebna w poszczególnych profesjach, wymagających na przykład wyższych studiów, jest ustalana statystycznie. A tymczasem bardzo często prawo do nauki, rozumiane jako prawo studiowania na wyższej uczelni, pojmowane bywa subiektywnie, jako uprawnienie obywatela, z cenzusem do przyjęcia go na wyższą uczelnię. Dla poparcia swojego stanowiska powołują się oni na przykłady z dwudziestolecia międzywojennego, w którym każdy maturzysta mógł — przynajmniej teoretycznie — a jak

się uparł, to i praktycznie; wstąpić na uniwersytet.

Wobec tak formułowanych zarzutów, można by zapytać: — no i co z tego? — Po pierwsze: ilu było w Polsce przedwzrostowej tyż maturzystów? — Ilu z nich miało materialne warunki, które pozwalałyby im na podjęcie nauki w uniwersytecie? Po drugie: wiadomo, że ówczesny kierunek rozwoju uniwersytetów zezwalał na realizację tej zasady prawie wyłącznie na wydziałach humanistycznych. Warto także przypomnieć, że wobec tak zwanej nadprodukcji inteligencji, absolwent nie miał żadnej gwarancji iż otrzyma jakiegokolwiek zajęcie zgodne z kierunkiem studiów. Krótko mówiąc, jeżeli maturzysta podejmował studia, robił to wyłącznie na własne ryzyko, czasem dla osobistej satysfakcji, a nie dla zdobycia zawodu i stanowiska.

Dzisiejsze warunki są zasadniczo odmienne. Cenzus matury staje się coraz bardziej powszechny i w przyszłości może i prawie każdy robotnik będzie miał średnie wykształcenie. Rozwój techniki dyktuje także wymagania, nie mówiąc już, że na tym przecież polega właściwa rewolucja kulturalna.

Będzie więc rzeczą coraz bardziej naturalną, że poważna liczba maturzystów szczególnie tych, którzy kończyli szkoły techniczne, po szkole średniej podejmie natychmiast pracę. Będzie zmuszona rozpocząć pracę zawodową również i znaczna część absolwentów liceów ogólnokształcących bądź zaraz po maturze, bądź też po ukończeniu dodatkowych kursów czy szkół zawodowych.

W tej sytuacji rekrutacja kandydatów na wyższe studia nabiera szczególnego znaczenia. Społeczny interes wymaga, abyśmy mieli możliwie najlepszych fachowców różnych specjalności. Postulat ten mogą zrealizować ludzie utalentowani, pracowici i odpowiedzialni. Cały więc system rekrutacji winien być tak opracowany, aby mógł dać maksymalnie obiektywną odpowiedź na pytanie: czy konkretny kandydat reprezentuje wymienione cechy i w jakim stopniu? Z tego też powodu nie podzielałem głosów domagających się zniesienia egzaminów wstępnych. Przy powszechności matury egzamin wydaje mi się koniecznym zabiegiem selekcyjnym. Rzecz w tym, aby owa selekcja była prawidłowa. A jest to zadanie wcale nietławe, jeżeli uwzględnić, że przygotowanie kandydatów na studia budzi poważne zastrzeżenia. Ilustrują to wymownie tegoroczne egzaminy wstępne na akademie medyczne. W łódzkiej akademii, w której egzamin wypadł znacznie lepiej niż w innych, tylko 53 procent zdających nie otrzymało ani jednej oceny niedostatecznej. We Wrocławiu takich, którzy dostali dwie dwójki lub więcej było 53 proc., a z jedną dwójką 29 proc. W Warszawie dwie i więcej oceny niedostateczne miało 45 proc., a po jednej 24 proc. Analogicznie w Krakowie powyżej dwóch ocen niedostatecznych otrzymało 42 proc. przystępujących do egzaminu, a z jedną dwójką było 39 proc. Tak więc w wymienionych akademiach medycznych procent kandydatów, którzy nie mieli w ogóle ocen niedostatecznych wahał się w granicach od osiemnastu do pięćdziesięciu kilku.

A może zbyt wysokie były wymagania egzaminacyjne? Moim zdaniem, nie ma podstaw do takich wniosków. Muszą więc być inne tego przyczyny. Chyba jedną z nich jest fakt, że studia medyczne straciły nieco na popularności i chociaż liczba kandydatów w związku z wyższym demograficznym jest jeszcze ciągle znaczna, to jednak zmieniła się ich jakość. Dzisiaj utalentowani maturzyści częściej idą na specjalistyczne kierunki uniwersyteckie lub politechniczne niż na akademię medyczną.

Niewątpliwie także procent ludzi wybitnie uzdolnionych, przy coraz większej powszechności szkoły średniej jest niższy, chociaż liczba bezwzględna zdolnych absolwentów rośnie, co zresztą nie wpływa na wskazane proporcje, bo wzrasta także ilość miejsc na uczelniach. Jeżeli dodamy do tego nie najlepszą ciągle jeszcze pracę wielu szkół średnich oraz tolerowanie przez rodziców nierobstwa wielu uczniów — „bo po co się dzieci mają męczyć” — będziemy mieli przybliżony obraz przyczyn omówionego zjawiska.

W tym świetle dziwnie nieocześnie brzmią lamenty wielu publicystów nad wysokimi wymaganiami stawianymi kandydatom oraz ich ataki na system egzaminów konkursowych, a szczególnie na preferencje przyznawane dzieciom robotników i chłopów, ze szkoda, jak się sugeruje, dla młodzieży pochodzącej ze środowisk inteligentnych. „Życie Literackie” z 7 sierpnia opublikowało artykuł Konstantego Grzybowski zatytułowany „Pochodzenie społeczne”. Pozwolił sobie przytoczyć ze wspomnianego artykułu charakterystyczne, a w moim przekonaniu — wielce demagogiczne przykłady takiego rozumowania: „Dla oświetlenia współczesnej sytuacji — pisze Grzybowski — dwa przykłady bynajmniej nie fikcyjne...”

„Ojciec był przed wojną robotnikiem. Przeszedł jako żołnierz od Lenino po Berlin. Uzupełnił wykształcenie. Dziś jest podpułkownikiem. Dziecko zdając na uniwersytet uzyskało dwadzieścia siedem punktów, gdyby ojciec został nadal robotnikiem miałyby trzy punkty dodatkowe...” i dalej autor zapytuje: „Czy taka „sprawiedliwość” była rzeczywiście sprawiedliwa wobec tego inteligenta z robotnika, czy była zgodna z celami i linią rozwoju naszego państwa, z naszą polityką społeczną, z tezą, że klasa robotnicza jest klasą rządzącą?”

Na wszystkie te pytania pana Grzybowski można by spokojnie odpowiedzieć — tak. Bo istotnie taka polityka jest zgodna z interesem warstw pracujących w naszym kraju i założeniami państwa ludowego, nawet wówczas, gdyby został przy tej okazji narażony na szwank pojedynczy interes ludowego pułkownika. Młodzież z rodzin robotniczych i chłopskich preferuje się przede wszystkim dlatego, że istnieją jeszcze istotne różnice między poziomem startu tej młodzieży, a dzieci z domów tzw. inteligencji. Są to głównie różnice w poziomie kulturalnym środowisk, w których żyją, a nieraz także dysproporcji w sytuacji materialnej.

Dlatego można i trzeba założyć, że syn robotnika lub chłopca, który na egzaminie ma tylko trzy punkty mniej od syna inteligenta bardziej zasługuje na przyjęcie na studia: widocznie jest zdolniejszy lub pracowitszy, jeśli mimo większych przeszkód osiągnął takie wyniki. Natomiast kandydat ze środowiska „inteligentnego, dystansujący swego koleżkę o trzy punkty, naprawdę często nie zasługuje na przyjęcie na studia. Niech więc mądrze stara i mądra maksyma: „komu więcej dano, od tego więcej będzie wymagane”.

Zresztą mimo krzyku o dyskryminacji dzieci pracowników umysłowych, znacznie ponad 50 proc. studentów wywodzi się z tej grupy zawodowej. Biorąc pod uwagę liczebność wspomnianego środowiska, nie nie wskazuje na jego upośledzenie w tym względzie. Natomiast dla państwa ludowego nie może być obojętne, czy dzieci z innych środowisk mają faktyczny dostęp do wyższych uczelni. Jest to w naszym systemie społecznym ważny problem polityczno-ustrojowy i społeczny. Przecież nie tylko w rodzinach pracowników umysłowych rodzą się talenty. Dla przypomnienia wymienimy choćby z okazji tyśiąclecia: Klemensa Janickiego, Ja-



na Kasprowieca lub Juliana Przybosa.

Stanowisko, którego broni Konstanty Grzybowski i jego zwolennicy, prowadzi w prostej linii do przyjmowania koncepcji, według której należy oceniać nie pracę i zdolności dzieci, lecz awans osiągnięty przez rodziców. Głosząc takie zasady milcząco zakłada się potrzebę utrwalania zdobytych ojcom przez zapewnienie odpowiednich stanowisk dzieciom. Nie może być bardziej obce ludowemu państwu, niż takie rozumowanie. Z istoty demokratyzmu ludowego wynika bowiem dążenie do zapewnienia wszystkim możliwie jednakowych warunków startu, a o reszcie winny decydować zdolności i praca poszczególnych osób, a nie ich przodków.

Społeczna szkodliwość różnych rodzajów protekcji jest oczywista. I tak np. w czasie egzaminu do Wyższej Szkoły Muzycznej ustalono, że jedna z kandydatek, absolwentka średniej szkoły muzycznej, w ogóle nie ma słuchu. Trudno uwierzyć, by nauczyciele w średniej szkole muzycznej nie wiedzieli o tym. No, ale cóż — mama lekarz, widać o mieszczańskich ambicjach, zapewniła niezbędną protekcję i

dączyła własne dziecko na koszt ludowego państwa. Albo inny przykład: — Pewien usłynie protegowany absolwent medycyny nie wiedział jak zbadać chorego w przypadku podejrzenia zapalenia wyrostka. Przykłady jaskrawe, ale zupełnie autentyczne. Znalazłoby się ich i więcej. Nie można się więc godzić z panującymi w określonych kręgach społecznych snobistycznymi poglądami, że dzieci lekarzy, inżynierów i archeologów muszą być lekarzami, inżynierami lub archeologami, nawet gdyby brakowało im zdolności, nawet gdyby byli skończonymi nieukami. Każdy zawód jest społecznie potrzebny; nie nie stoi na przeszkodzie, aby młodzież pochodząca z rodzin inteligentnych nie posiadająca wymaganych zdolności szukała zawodów wykwalifikowanych robotników lub rolników. I to niezależnie, czy młodzież ta wywodzi się ze starej rodziny inteligentnej, czy też z inteligentów w pierwszym pokoleniu. Zaś kandydatów na wyższe studia dobieramy z pełnym poczuciem odpowiedzialności, aby w przyszłości mieć wybitnych specjalistów o wysokim poziomie wiedzy. Chodzi przecież o rozwój gospodarki i kultury narodowej.

Z rozległej dziedziny zawodowej pracy adwokata, który zawsze i wszędzie ma sposobność składania egzaminu ze stopnia swej kultury oraz stań o jej pogłębianie, opieram się na jej fragmentcie, demonstrowanym publicznie na co dzień, łatwym skutkiem tego do oceny — na zastępstwie i obronie obywatela przed trybunałem sądowym w srawach cywilnych i karnych.

Jak wiadomo, w sprawach cywilnych występuje przeważa słowa pisanego, w sprawach karnych — przeważa żywego słowa, w obydwu rodzajach spraw środki odwoławcze wymagają opracowań na piśmie.

Nie wszystkie sprawy dają sposobność do szerszego wystąpienia ustnych czy pisemnych. Niekiedy wystarcza szablon w obydwu tych postaciach, stereotypowe formułki, które nie wymagają ani szczególnego wysiłku myślowego, ani stylizacji. Nie znaczy to, aby i one nie były nacechowane kulturą, która przy właściwym zachowaniu się adwokata, sędziego i innych uczestników procesu skła-

da się na całość nazywana kulturą rozprawy sądowej.

Dostatecznie sprawdziany kultury wydatniają się przecież w sprawach o znacznym splocie zagadnień natury prawnej i faktycznej, a także psychologicznej, co przede wszystkim dotyczy przypadków ścigania karnego. Kultura adwokata powinna wówczas przejawiać się wszechstronnie: w stosunku do sadu i wszystkich osób biorących udział w sprawie, w zasobie wiedzy prawnej, w dokładności przedstawiania faktów, w stylizacji pism i przemówieniach nacechowanych rzeczowością i ujmująca forma.

Chociaż nie wszyscy możemy te wymagania spełniać, to jednak wszyscy musimy być świadomi takiego obowiązku. Realizacja zależy w dużej mierze i od osobistych talentów, jednakże ustawiczny wysiłek i rzetelna praca nad sobą zastępują je dostatecznie. Przekonywa o tym doświadczenie bez potrzeby powoływania się na legendarne do Demostenesa. Wiedza nie uzupełniana zostawia nas na

marginiesach kultury, to co piszemy, choć zawiera treść o ścisłości prawnej, niechaj ma ambicje literackie. Przemówienia „pod publiczkę” nie mają wiele wspaniałego z kultury słowa, grzeszą płytkością myśli, nużą krytycznych słuchaczy.

Trzeba pamiętać, że sady rozstrzygają rocznie setki tysięcy spraw (w r. 1964 ponad 700.000 cywilnych i ponad 500.000 karnych — we wszystkich instancjach). Trudno ustalić, jaka liczba osób przysłuchiwała się tym sprawom. Prymat w tym względzie wioda sprawy karne, jednakże i w cywilnych prócz stron trzeba wziąć pod uwagę świadków, pozostałych w sali rozpraw po złożeniu zeznań. W każdym razie wkraczamy w miliony obywateli, wynoszących z rozpraw wrażenia, kształtujące w jakimś stopniu ich osobista kulturę.

Niedostatecznie doceniamy pilność słuchaczy sądowych. Dostrzegają oni wszystko i komentują na swój sposób: każda zmiana w wyrazie twa-

rzy siedzi, każda uwagę uczyniona stronie, świadkowi, pełnomocnikowi, obrońcy, oskarżycielowi. Widzą zachowanie nie się adwokata, jego stosunek do sadu, zapamiętują zwroty i apostrofy, jakich używa. Klienci w rozmowach z nami mówią o sadzie używając zwrotu „wysoki sąd”, np. „wysoki sąd mi kazał”. W konciekcie tych rozmów „wysoki” jest niepotrzebny, ponieważ jednak używany jest w przemówieniach adwokatów, wielu słuchaczy wiąże go z sadem nierozdzielnie.

Wymiar sprawiedliwości jest w swym całokształcie wrazem kultury — składa się na to treść praw i technika sądownictwa. Będąc gwarantem praworządności spełnia podsta wowa funkcje wychowawcza, a więc kulturalna. Gdy jednak mówię w szczególności o sędziach, jako współczynniku w podnoszeniu kultury, drogą właściwego występowania w sadzie, to niech mi nie będzie poczytane jako jednostronność akcentowanie samego zachowania się, ponie-

waż ono właśnie tak łatwo udziela się innym.

Jest zasada, że postawa adwokata wobec sadu winna cechować szacunek i uprzejmość — nie przesadna uniżoność, która widzów i słuchaczy razi, a sędzię chyba krępuje. Przemówienie, docierające przecież do odbiorców szerzego zakresu aniżeli pismo procesowe, zbudowane być musi na wiedzy, logice i autentyczności faktów, a nadto opracowane we właściwa formie. Wymogi te obowiązują, mimo, że do słuchaczy docierała przede wszystkim akcenty emocjonalne. Słowa wyciskające łzy, efekty oratorskie, często sofizm, cenione są bardzo; ceniona jest także często długość przemówienia zamiast potrzebnej treści. Jedno jest pewne, że nie w procesie nie stanowi takiej pozycji dla dyskusji, jak przemówienia. Dlatego mówca w procesie musi zdawać sobie sprawę, że swej odpowiedzialności za słowa, które mogą być zarówno złażkiem pożytecznych, jak i deprawować słu-

chacza nieostrożna pochwałą złą i demagogia.

Osobliwie trudna i wywołująca wiele nieporozumień funkcja adwokata, który ma obowiązek obrony każdego obywatela powierzonego mu przez siebie, a z drugiej strony bacznie, aby nie ucieknął w następstwie tej obrony interes publiczny, powoduje, że adwokatura wypożyczona jest przez państwo w samorząd. Jego to obowiązkiem jest czuwanie, aby adwokat w swej pracy zawodo wej zajmował postawę eliminującą kolizje, które w swej istocie mogą być tylko pozorne.

Adwokat świadomy tego, że wyposażony został w dziedzi nie wymiaru sprawiedliwości w daleko idące uprawnienia w interesie społecznym, spełniając prawidłowo swe trudne obowiązki, będzie się przy czyniał do podnoszenia kultury narodowej i ogólnoludzkiej.

ZYGMUNT ALBRECHT,
Dziekan Rady Adwokackiej
w Łodzi

W kraju zakwitających agaw

Dalszy ciąg ze str. 1

Cała ta zalana potokami słońca trasa stanowi gigantyczny interes turystyczny, wędrując do jugosłowiańskiego skarbu złociście jak to słońce dewizy, w ilościach najprawdopodobniej okazałych, skoro w górach Dynarskich wciąż huczą miny, łamiące przejścia dla nowych dróg czy rowy dla kanałów i wodociągów, stwarzających z kawałka kamienistego pola — „Auto-Camp“ A „Auto-Camp“ to 500 dinarów na dobie od samochodu, a samochodów mieści się czasem po kilkadziesiąt. Wyposażenie auto-campingu — to ubikacja i kilka kolumnienek z prysznicami wzdłuż brzegu. Bardziej skomplikowaną inwestycją stanowią hotele i motele rozsiane wzdłuż drogi po wszystkich chyba miejscowościach. W miasteczku Jablanac hotel tak wybudowano na ruinach jakiegoś pradawnego zamku. Pozostały z niego kawałek muru i fragment baszty. Na murach wzniesiono nowoczesny i piękny — jak to Jugosłowianie potrafią — hotel, a baszta, prawem jakiegoś zadziwiającego kontrastu znakomicie harmonizuje z nowoczesną fasadą i stanowi jej malowniczą część. Niżej — kamienno-betonowa plaża i bajecznie kolorowy Adriatyk. Dwuosobowy pokój w takim hoteliku kosztuje na dobę około 7000 dinarów, tj. tyle ile płaci się za parę eleganckich męskich butów.

Za owe dinary płacone w campingach, hotelach, restauracjach (danie mięsne 1000—1200 din.), bazarach i wszystkich miejscach kupna — sprzedaży, turysta ma dość smętny, spieczony, kamienisty krajobraz, obłany gorącym, złotym słońcem i cudowną wodą Adriatyku, przejrzystą, ciepłą, mieniącą się barwami — zjawisko nie dające się opisać komuś, wyrosłemu nad naszymi, mętnymi i chłodnymi wodami.

A przecież co roku po naszych szosach mkną coraz więcej samochodów zagranicznych. Brytyjczyki, Francuzi, Czesi, Węgrzy, Amerykanie myszczą po Polsce — dowód, że bywają na świecie i inne oprócz Adriatyku uroki. Zdarzyło mi się tłumaczyć rozmowę prowadzoną prywatnie przez naszą osobistość postawioną wysoko, bo w randze wiceministra z osobistością wysoko postawioną w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ta ostatnia, po zwiędzeniu kilku miejscowości w Polsce, życzyliwie orzekła: „Powinność rozwinąć turystykę“. Na to nasza osobistość patetycznie: „Przed wszystkim musimy budować przemysł...“. Na twarz obcej osobistości wyraz zdziwienia: „Przecież chodzą tam o dewizy i o szybki zwrot za inwestowanego kapitału? — A nie nie procentuje tak szybko jak pieniądz zainwestowany w turystykę. Zbudujcie w Polsce 5-6 hoteli, takich jak poznański „Merkury“. Powinny być rozmieszczone w centralnych punktach terenów turystycznych. To na początek wystarczy. Zasympa was dolarami“.

I choć ciągnęło mnie, by zbroczyć z autostrady i spędzić po godzinie w nagranych miasteczkach wybrzeża, to przecież refleksje powyższe kazały skręcić do... Belchatowa. Właśnie z tych turystycznych względów, wciąż u nas nie rozumianych. Jak akty wizacji — to obowiązkowo fabryka, 80 tysięcy najtańsze miejsce pracy! Toteż uprzejmie proponuję Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Łodzi zanalizowanie następujących refleksji, które zrodziły się w obrzonym kombinacie turystycznym noszącym nazwę Jugosławii.

Bogactwo Belchatowa, węgiel brunatny leży bardzo głęboko i cała inwestycja mająca na celu wydobycie go i przekształcenie w energię elektryczną nie pasuje w tej chwili do naszych finansowych możliwości. Ale, w czasie trwających od kilku lat prac badawczych, ustalono, że w trzech miejscach niedosłownie zagłębia można stworzyć obszerne zbiorniki wodne, które służyłyby belchatowskiemu kombinatowi górniczo-energetycznemu. Ustalenie i zbadanie tych miejsc to trud już włożony, to pieniądze już wydane. Gdyby inwestycja belchatowska stała się faktem,

jedną z jej konsekwencji byłoby powstanie ośrodków wodno-turystycznych na obszernych zbiornikach wodnych. Proponuję niniejszym odwrócić kolejność tworzenia obiektów. W taki mianowicie sposób, by już teraz stworzyć jeden z zaplanowanych zbiorników, jako inwestycję turystyczną, w wypadku zaś, gdyby ewentualnie powstał kombinat belchatowski, istniejące jezioro stałoby się jego zbiornikiem wodnym, stworzonym zgodnie z planem ogólnym. Belchatowskie jest biedne i rade by się „zaktywizować“. Dlaczego nie przez stworzenie centrum turystycznego?

Myśli te zrodziły się w czasie drogi po serpentynach „Chorwackiego Pomorza“ potem — Dalmacji. Na zakrętach, poprzez skowyt kół przebiega głośny krzyk cykad, które obsiadły wszystkie pinie i drzewa oliwkowe i pracowicie snują swoją hałaśliwą, skrzypiącą melodię. Tylko nasze świerszcze — śpiewają.

Oczywiście Polak jadący tą drogą jedzie w ramach czegoś, za co zapłacił złotówkami. Uwaga ta ma znaczenie następujące. Krećta linia wybrzeża składa się z odcinków przepięknych, ładnych i brzydkich. A najbrzydszy kawałek wybrzeża przylega do starożytnego miasta Trogiru. Właśnie tam nas zawiodły nasze złotówki. Motel, nie wiadomo dlaczego nazwany S-Motelem, skromnie nowoczesny, ładny. Pomiedzy nim a brzydkim, skalistym brzegiem morza — obóz krzyżacki, Ople, Taunusy i Volksvageny, a wśród nich przepych turystycznego ekwipunku namioty ładne, wygodne, kolorowe i składany wygodny sprzęt. Niewiele jurgielników ze znakami B, NL, a nawet GB, ale króluję D. Rankiem, przed campingowym wychodzeniem — długi rzudek knechtów w co eleganckich wdziankach i opalaczach. Ordnung muss sein!

Po co się jedzie na południe i to za grubą, przez rok cały skrzętnie zbieraną gotówkę? Po słońce, opisanie już morze i oczywiście południowe owoce. Raz się, panie dobrodzieju, najesz do syta, tam na miejscu, nie z dojrzałymi, ale ze słońca, poznać panie dobrodzieju, prawdziwy smak południowego owocu.

Czy pamiętacie te dzieci, które na szosę wybiegają z miseczkami pełnymi grzybków? Na wierzchu dwa borowiki, a niżej leśne pospółstwo? — To samo spotyka się w Jugosławii, tyle że z owocami. Więc już koło Zadaru ofiarują niedojrzałe figi, nieco dalej arbuzy i melony. (O zółwiach nie wspominać, bo do tematu nie należą). Nigdy w życiu nie jadłem tak podłych arbuzy jak w Jugosławii. Co zaś do melonów, to trzeba je jeść na Południu, by poznać ich smak prawdziwy. Są mianowicie mdłe jak osłodzony ziemniak. Zjedliśmy połowę i zaproponowaliśmy nieletniemu dziecku by stanęło na szosie i wzorem jugosłowiańskich dzieciaków odprzedało drugą połowę turystom. Ale dziecko z obrzydzeniem odmówiło. Za to na widok podanych na deser winogron to samo dziecko zapytało, nie śląc się — wierzyć mi! — na dowcip: „Czy to są porzeczki?“. Rodacy! Chcicie się najesz owoców Południa? — jedźcie je w kraju! 500 dinarów za 1 kg przeciętnych winogron, 450 dinarów za brzoskwinie — to ceny takie same jak w Polsce, lub wyższe, a gatunek — taki jak w Polsce lub niższy.

Więc tylko morze jest nagrodą za trud dotarcia do miejsc tak dalekich, a tak ubogich w atrakcje. Można zwiedzać zabytki! Domy Trogiru, Splitu czy Szibenika pamiętają starożytność, wala się, a jaszczurki grzeją zielone grzbiety na rzymskich kolumnach sterzających dziwnie, samotnie, nie wspierających nic. Kolumny stanowią smętną resztkę czegoś, co kiedyś istniało i miało sens. Nagrzane w słońcu kamienne bloki są zimne. Nie ma siły, która mogłaby je wtłoczyć w dawny, żywy kształt.

Jugosłowianie sprzedają te widoki turystom, a ci żłopiać Yugo-Cockta, ocierają pot z czoła i pstryk! — knecht w pałacu Dioklecjana, pstryk! — żona knechta przy studni Onofrio della Cavy, pstryk! — Grossmutter z marmurowym lwem, pstryk, pstryk,

pstryk i butelka Yugo-Cockta i świeża chusteczka do obcierania czoła.

Niewątpliwą a niezapomnianą atrakcją jest pływanie w Adriatyku z maseczką na twarzy, oglądanie własnymi oczami dziwów morskiego dna i nurkowanie po muszcełki. Podłe są te nasze polskie maseczki po 35 zł sztuka. Niestety, porządna z wmontowaną fajką kosztuje w Jugosławii około 5 tys. dinarów. Dno morskie jest piękne, jeśli je oglądać daleko od miejsc takich jak Trogir. Bo tu przypomina mazurskie biwaki i podmiejskie łaski w ojczyźnie — tyle na nim papierów, puszek od konserw i innego śmiecia. Znam miejsce koło Trogiru, gdzie leży zatopiony... termos. Niektórzy przywożą ze sobą małe harpuny. A pewien Czech przywiązał widelec na końcu kijki i przy jego pomocy usiłował połowić na ryby. Aby się dostać na głębię, trzeba przebyć skalisty brzeg i pokryte ostrymi kamieniami dwie płytyżny a wśród nich, lub na nich — czarne kępy morskich jeży grożące stopie niebezpiecznym zranieniem, jeśli się nadejnie

na ostre a kruche kolce. Gdzież, ach gdzież złociście, cudny, śpiewający piasku nadbałtyckil...!

W reportażu tym nie znajdzie czytelnik końcowych wniosków poza jednym. Polska jest pełna turystycznych atrakcji, a turystyka przynosi dochody. Opisany wyżej, okupowany przez Niemców camping w Trogirze nie jest unikatem. Jugosłowianie zwracają się do cudzoziemców łamaną niemiezczyzną, bo wiadomo, że najczęściej trafiają na Niemca. My turyści, z mieszkaniem, wyżywieniem i kieszonkowym opłaconym w złotychkach jesteśmy obsługiwani w dalszej kolejności, po nich. Na plażach wywalamy czy na ich piękny i wygodny sprzęt, wciąż oczujemy, że nasz międzynarodowy autorytet bardzo by tu wzrósł, gdyby każdy z nas miał dodatkowe po 100 dolarów w kieszeni.

Toteż już widzę kolosalnych rozmiarów agawę, która mi na dłoni wyrośnie, jeśli tam jeszcze raz pojedę.

JERZY URBANKIEWICZ



Prawo to brzmi dumnie

Dalszy ciąg ze str. 1

su. Dowiedziała się bowiem o możliwościach sezonowej sprzedaży kwiatów przed cmentarzem. Srobowal:

SZANSA

O tej możliwości poinformował ją znajomy z Miejskiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego. Po prostu ulitował się nad jej losem. Za poradą znajomego zwróciła się do Wydziału Handlu Przemysłu i Dzielnicowej Rady Narodowej z prośbą o zezwolenie na handel kwiatami przed Cmentarzem Wojskowym na Dolach w okresie od maja do listopada. Zezwolenie takie otrzymała. Rzecz jednak w tym, że prócz tego zezwolenia dla prowadzenia działalności należało zawrzeć umowę dzierżawy z Wydziałem Gospodarki Komunalnej, który dysponuje placami. Lajwiejsze okazało się trudniejsze. Dość powiedzieć, że kobietę długo zwozono, wzywano do urzędu dla sfinalizowania umowy i w ostatniej chwili okazało się, że kompetentnego pracownika nie ma, albo, że jest zajęty, albo że nie ma ochoty zajmować się tą sprawą. Kobieta

przez ponad miesiąc posłusznie dreptała po korytarzach urzędu, nie mogąc się ani niczego dowiedzieć ani też niczego załatwić. Z pomocą przyszedł jej przypadkiem. Otóż najstarsze dziecko, które sprawiło pewne kłopoty wychowawcze, otrzymało kuratora z sądu. Kuratorem tym był starszy pan znający dobrze życie i urzędy. Obiecał, że zadzwoni, gdzie potrzeba, a jeśli nie poskutkuje, będzie kołatał wyżej.

Kiedy poszła do urzędu po tym telefonie umowa już na nią czekała. Oplaciła tylko placowe i jak na skrzydłach pognana do domu.

NAUKA ŻYCIA

Na ulicy Strykowskiej, niedaleko wejścia na cmentarz, stoi budka telefoniczna. W tym właśnie miejscu bohaterka opowieści po raz pierwszy rozbiła swój stragan. Kwiaty dostała na kredyt w Miejskim Przedsiębiorstwie Ogrodniczym. I stała tak każdego dnia u bramy cmentarnej po zakończeniu pracy na posadzce od czwartej po południu do zmroku. Sezon wypadł nielito. Pospłacała dług i odważała się pomyśleć o wzięciu mebli na raty do mieszkania, które właśnie przydzielił jej kwaterek. Kupiła stół, krzesła i wersalke, pozostały

do kupienia dwa łóżka dla dzieci, które śpią wspólnie, chciała bowiem, aby każde dziecko spało oddzielnie.

W zimie zadłużyła się znowu, ale nie traciła otuchy. Wierzyła, że w czasie handlowego sezonu spłaci wszelkie należności i może jeszcze coś odłożyć. Cała jej nadzieja zawiązała się w podaniu, które napisał za nią magistracki woźny, wystawiając sobie niezłe świadectwo operowania zwięzłym stylem i przedstawienia spraw w takim świetle, że mogłyby wzruszyć nawet umarłego.

„Proszę uprzejmie Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkalniowej o wydanie mi dzierżawy na stoisko przy Cmentarzu Wojskowym na Dolach. Proszę swą motywację, że jestem w ciężkich warunkach materialnych, gdyż mam na wyłącznym utrzymaniu czworo nieletnich dzieci i zarobek mój miesięczny nie wystarcza mi na utrzymanie mej rodziny“.

Urząd zwlekał jednak z definitywnym załatwieniem podania, wyznajdował jakieś przeszkody. Inspektor dawał do zrozumienia, że sprawę może załatwić kierownik, kierownik spychał to znowu na inspektora.

Jakaś życzliwa dusza poradziła jej, aby poprosiła o pomoc zastępcę przewodniczącego Prezydium. Wysoki urzędnik wzruszył się jej losem, chciał to załatwić od reki. Polecił wezwać i kierownika oddziału i inspektora, ale obaj byli nieuchwytni. Wysoki urzędnik zdecydował więc, że tamci zostaną pominięci, a sprawa



PORTRET

Foto: Szmıldt

AUSTRIACY W SPALE

Dzień w dzień gości w Łodzi od 40 do 50 obcokrajowców, przybywających tu dla załatwienia spraw handlowych, parę razy w roku zwoływane są w naszym mieście międzynarodowe narady i sympozja naukowe, a i w związku z milenium raz do raz wpada do Łodzi grupa rodaków z zagranicy. Bo Łódź jest po drodze z Warszawy do... Częstochowy i Krakowa. Kupcy i przemysłowcy zabierają o centralne handlowe związki z tradycyjnym przemysłem — włókienniczym („Textilimport”, „Cetebe”, „Confesim”), dla reszty zagranicznych gości Łódź jest punktem tranzytowym.

Oczywiście najpierw przychodzi „cynk” — warszawski „Orbis”, zawiadamia „Orbis” Łódźki o wizycie gości. Czasem zawiadamia nawet na pół roku przed terminem, bo tym „cynku” jednak nadchodzi konkretnie zlecenia określające ściśle usługi, które nasz „Orbis” ma świadczyć przybywającym. Zdarza się jednak, że w ostatniej chwili centrala zmienia zakład przemysłowy, który wycieczka chce odwiedzić, czy też inne punkty programu. Czasem zmiany w programie następują tu, na miejscu i wtedy goście są mniej czy więcej zaskoczeni. Ponadto najczęściej bywają zaskoczeni Chińczycy. Gdy program wycieczki do Łodzi jest realizowany choćby trochę inaczej, wyrażają swoje niezadowolone.

Oddajmy jednak sprawiedliwość Chińczykom — w Grand Hotelu, gdy otrzymają kwiaty, pilnie przestrzegają zasady, aby żaden pokój nie był lepszy od drugiego, podkreślając na każdym kroku, że nikt z uczestników wycieczki, niezależnie od stanowiska jakie zajmuje i tytułu jaki posiada, nie może być szczególnie uprzywilejowany. Bardzo też nie lubią, jeśli na stole w czasie obiadu zjawia się woda sodowa...

Przebywająca ostatnio w Łodzi grupa chińska była zadowolona z pobytu. Mimo trudności, jakie towarzyszyły wizycie w jednym z zakładów przemysłowych (trzeba było interwencji w Zjednoczeniu, aby goście wpuścili do zakładu, w którym akurat trwały jakieś większe prace remontowe, czego dyrektor nie chciał przecież pokazywać) mimo że z programu wypadła Szkoła Tysiąclecia i skończyło się tylko na przedziale — wywodził wrażenie dodatnie, czego nie ukrywał. A zdecydowało, jak twierdzi pilot tej wycieczki, to że wieczorem, przed północą do „Polonii” opowiedział gościom po chińsku treść filmu „Anglicy grymaszą, jeśli w posiłkach dostają grzyby (jedną najwięcej pieczarkę), jeśli się ich zaprasza do wypicia szklanek czerwonego barszczu, którego w ogóle nie znają”.

Alle najwięcej kłopotów było z pewnym duchownym z Polonii Amerykańskiej. Przy jego zawiadomieniu z Warszawy, aby przygotować dla niego specjalnie szeroki tapczan, bo ksiądz jest znacznej tuszy. Gdy przybył do Łodzi okazało się, że tusza prześcignęła wszelkie wyobrażenia o ludziach takich, grubych itp. Trzeba było naprzecde szkować specjalną przystawkę do tapczanu, żeby tylko ksiądz mógł się jako tako przespać.

W tym samym Grand Hotelu, w którym Chińczycy nie cierpią widoku wody sodowej, Amerykanie toczą boje o łazienki. Gdy przyjdzie ich większa grupa, łazienek w apartamentach dla wszystkich nie starczy. — Tłumaczyłam — mówiła pilotka z „Orbisu” — że remont, że przebudowa łazienek, że na razie nie ma jeszcze wszędzie łazienek. Nie pomaga. Chcieli pakować się i uciekać z Łodzi.

Alle oto zagraniczny gość załatwił już sprawy służbowo-handlowe, zjadł obiad w „Malinowej” pochodził po mieście i zbliża się wieczór. Co wtedy? W recepcji hotelowej jest tylko repertuar teatralny. Dla fednych to atrakcja zbyt poważna, jak na kilkudniowy pobyt w obcym mieście, dla innych — żadnym urozmaiczeniem wieczoru. A nawet jeśli gość po załatwieniu spraw handlowych przeznaczy na nasze miasto i jego region jeszcze kilka dni, to sam stwier-

dzi, że w Łodzi nie spotka się z żadną propozycją. Co znajdzie natomiast w Łódzkiej „Orbisie”? Piękne foldery w obcych językach, zapraszające go do... Warszawy („Warsaw and neighbourhood”), na jeziora mazurskie („The Mazurian Lake District”), na ryby („Co za ryby w Polsce”) — zachęca folder), na piękne trasy turystyczne, do Gdańska, Sopotu i Gdyni, czy wreszcie do Krakowa. Bo folderu, który by zachęcał gościa zagranicznego do zwiedzenia Łodzi, zabytków związanych z tradycjami i przeszłością tego tak niezwykłego pod wieloma względami miasta włókienniczego — jeszcze nie ma. Nie ma nawet w polskim języku.

Nie ma też przewodników drukowanych, które by umożliwiły przybyszom zwiedzenie wielu atrakcyjnych miejscowości Ziemi Łódzkiej, bogatych w pamiętki historii, jedynych w kraju. A dla gości zagranicznych interesujący mógłby być nawet fakt, że tuż pod Łodzią znajduje się geometryczny środek Polski (w Parzęczewie) nie mówiąc już o Niebieskich Źródłach, Sieradzu, Tumie, Łęczycy i tylu innych, godnych uwagi miejscowościach. Wiele walczyć o dewizy, o urzędy i wycieczki, postaramy się przede wszystkim o interesującą informację, będącą sumą propozycji w stosunku do gości. Bo jak dotąd — ledwo goście przyjechali, już właściwie trzeba ich wpraszać — na ryby, na Mazury, do Krakowa czy do uzdrowisk („Polen die Quelle der Genesung”). Bo sami siebie pokazać jeszcze nie potrafimy.

Nudząc się, zawrże gość zagraniczny w kawiarni hotelowej znajomością, niektóre niezbyt dobrej sławy łódzianki czekała na zagranicznych już od śniadania, na które schodzą oni wcześniej rano ze swych apartamentów (doznając niekiedy zawodu, bo milicja czasem przecina te wozły z „girl-sami”). Z nudów przesiadują wieczorami w „Malinowej”, zwłaszcza latem, gdy jedyna propozycja rozrywkowa — repertuar teatralny — odpada ze względu na wakacyjną przerwę.

Jeszcze pół biedy z naszymi Polonusami. Wielu z nich przyjeżdża do Łodzi w drodze do Krakowa, gdyż tutaj ma swe rodziny bliższe i dalsze, maia więc dokąd pójść, z kim pogadać. Ale co miało zrobić pewne małżeństwo szwedzkie? To małżeństwo wpadło na pomysł, żeby kilka dni spędzić w górach. Wierzyli, że wrócili się do „Orbisu”, aby im to załatwić. Kierownik łódzkiego oddziału przez kilkanaście godzin bombardował telefonami Zakopane i Krynice, postugiwał się nawet telexem — nigdzie nie dostał dla tych Szwedów pokoju. Bo edzieł tam — chyba w warszawskiej centrali „Orbisu” zapomniano załatwić prostą sprawę: jeśli do Łodzi przybywała zagraniczni turyci, to Łódź powinna korzystać z jakiejś niewielkiej rezerwy w hotelach, pensjonatach, campingach w co atrakcyjniejszych miejscowościach w górach i nad morzem. Bez tej rezerwy bo wiem dochodzi do sytuacji wręcz niepoważnych.

Foldery w obcych językach zapraszające gości dewizowych do zwiedzenia miasta i regionu to jeszcze niewiele. Właściwie — tego przede mna nie ukrywano w „Orbisie” — pracownicy obsługujący zagranicznych turystów boia się folderów. Bo gdy już zostaną wydrukowane, okaże się, że czym prędzej należałoby załatwić całą masę innych jeszcze spraw, bez czego turystyka zagraniczna po Łodzi i województwie nie ruszy.

Jeśli np. gość wybierze sobie z folderu jedną z atrakcyjnych tras, to tego gościa trzeba czymś wozić po tej trasie. A tymczasem „Orbis” daremnie walczy o garaż na potrzeby obsługi ruchu turystycznego (idealny dla tych celów lokal w podwórzu przy Piotrkowskiej 68 zamiast „Orbisu” dostała spółdzielnia „Tapicer”). A tymczasem nie załatwiono centralnie sprawy przewo-

ników ze znajomością języków obcych. — Taki przewodnik władający obcymi językami — słysze w „Orbisie” — może u nas otrzymać najwyżej 1600 zł miesięcznie, więc nie dziwny się, że chętnych nie ma. Chyba, że zatrudnilibyśmy go jako ekonomiste, to by się nie krąm i kombinacje? Centralne handlu zagranicznego potrafiły sobie sprawę załatwić, tworząc specjalne bodźce przyciągające poliglotów. Czy naszą centralę w Warszawie nie stać na podobny wysiłek?

Nie ma więc garaży, to i o samochody dla obsługi zagranicznych gości w terenie nikt się w Łodzi nie stara. A przecież nie sa to chyba sprawy niemożliwe do załatwienia, jeśli poważnie traktujemy nasze turystyczne — dewizowe ambicje. Podobnie — ze sprawą stałej informacji przeznaczonej dla turystów ze świata, proponującej nie tylko teatry łódzkie (obecnie zamknięte), ale i kilkadziesiąt innych miejsc, zabytków, curiosów — i w samym mieście i w regionie. Utrzymanie takiego informatora (najwygodniej byłoby zainstalować go w recepcji hotelowej) mogłoby obciążyć solidarnie i „Orbis” i hotel. Obciążenie to wydałoby się zresztą tylko etatowo — formalne od strony finansowej — skutki działalności informatora bowiem i konsekwentne rozwinięcie usług turystycznych dla gości wrócić podwoiłoby chyba nasze wpływy z zagranicznej turystyki.

Niezbędna jest również weryfikacja z punktu widzenia potrzeb ruchu zagranicznego wszystkich zasługujących na to restauracji i hoteli w Łodzi i województwie, campingów czy nawet pól namiotowych (w Mielnie tego lata byliśmy świadkami drastycznej już wzrost „niemożności” z naszej strony — pewnej grupie zmotoryzowanych turystów nikt z tubylców nie potrafił wskazać miejsca na rozbiście namiotu). Przecież i w Spale i w Sieradzu, i wielu innych uroczysz zakatkach Ziemi Łódzkiej można stworzyć rezerwę „na wszelki wypadek”.

Tych wypadków będzie coraz więcej. Jeśli turysta zagraniczny dysponując choćby 2—3 dniami wolności wreszcie dokad może pojechać, co tam na niego czeka itp. Reklame dla naszego regionu zrobią i polowania dewizowe, które no raz pierwszy zorganizowane zostaną już we wrześniu br. w Spale i Sokolnikach. Przybada najpierw myśliwi z Austrii. Zwabieni piekaniem polskiej ziemi i cenami. Za pobyt bowiem (kwatery w lesie, całodienne utrzymanie oraz tłumacz) płacić beda tylko od 6 do 10 dolarów dziennie zależnie od wielkości grupy łowieckiej. Dla grup od 6 do 14 osób stawka jest o dolara niższa. Oczywiście do chodza jeszcze koszty upolowanej zwierzyny — w sumie jednak, jeśli weźmie się pod uwagę powodzenie dewizowych polowań w innych województwach Polski, myśliwych z zagranicy sporo przybywać będzie i do lasów podlódzkich.

Czas więc najwyższy realizować nasze ambicje. Ze mamy co pokazać obcym, czym się pochwalić — wspomniamy na naradach, konferencjach, gdy mówi się o randze miasta i regionu, o możliwościach rozwoju turystyki krajowej i zagranicznej. W tej pierwszej zrobiliśmy już wiele, ta druga, — dewizowa jest jeszcze w powijakach. Nie dziwiłem się też ocale sytuacji, jaką usłyszałem od swych rozmówców zainteresowanych rozwojem zagranicznej turystyki:

— Jest jeszcze tyle do zrobienia w tej sprawie, że właściwie nie wiadomo od czego zacząć.

Wydało się, że sprawa dojrzała na tyle, aby nasza turystyczno-dewizowa ekspansja zająć się bardziej zdecydowanie i kompleksowo. Zainteresowanych zaś sprawa nie brak: i miasto i województwo, i nawet Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Nie mówiac już o samym „Orbisie”.



załatwi kierownik wydziału. Następnego dnia bohaterka tej opowieści zeznania w oczach odbierała umowę dzierżawy nie wiedząc jak dziękować nieznanym ludziom, którzy jej pomogli.

W sezonie tym przed cmentarzem nie stała już sama, było ich w sumie siedem sprzedających kwiaty. Niechętnych sobie nawzajem, rachujących zyski konkurentów. Tylko dwie handlarzki trzymały się razem, były siostrami. Wzięły krwi okazywały się mocniejsze niż konkurencyjna walka.

Siostry dążyły do zlikwidowania rywalek. Proponowały pożyczki na dogodnych warunkach w zamian za likwidację lub ograniczenie interesu, punktowały dzieci przeciwko matkom, kiedy zaś nie nie skutkowało, dały do zrozumienia, że sobie i tak poradzą. Bohaterka naszej opowieści z opowieści innych handlaerek wiedziała już co to znaczy. Siostry miały pieniądze i mogły płacić.

Ostatecznie umowa została sfinalizowana na zasadzie kompromisu pomiędzy bohaterką naszej opowieści a siostrami, które jednak nie były zadowolone z takiego obrotu sprawy. Jedną z nich wręcz obiecała, że w następnym roku ją z tego miejsca wykurzy.

W międzyczasie wykryło się, że inspektor brał. Usunięto go z urzędu i posadzono do więzienia. I tylko nie wiadomo jak to się stało wszyscy zaczęli uważać, że zasypała go bohaterka naszej opowieści. To szpicłowska, dąły do zrozumienia siostry przestrzegając innych handlarzy. Mó-

wiono jej, że robi burdy przed cmentarzem i że trzeba będzie pozabawić jej dzierżawy. Kiedy handlarzki pobili pod cmentarzem jej syna, w urzędzie poszło to także na jej niekorzyść. Z nią zawsze kłopot, stwierdza nie pisana opinia.

TESTAMENT

Wzięła wtedy na raty telewizor z maleńkim ekranem. Płaciła także raty za meble, kiedy spadły na nią dodatkowe wydatki: podatek. Toteż w pierwszych dniach roku nie miała 240 zł na opłacenie dzierżawy w Wydziale Gospodarki Komunalnej, a kredyt u znajomych też miała zamknięty.

Jak żyła z rodziną w czasie tych czterech pierwszych miesięcy roku, lepiej nie mówić. Był to najgorszy okres w jej życiu, w domu brakowało nawet chleba. Co gorsza w Wydziale znowu natrafiła na kłopoty, oferowano jej stoisko w gorszym miejscu, nikomu nie mogła wytłumaczyć swoich racji. Tak zastały ją święta Wielkanocne.

Chwyciła się ostatniej deski ratunku, poszła do przewodniczącego Prezydium.

Wózny za opłatą znowu napisał jej rzeczowe i wznuszające pismo. Ale drogę do przewodniczącego tym razem zagroziła jej sekretarka. Po prostu wyjęła jej pismo z rąk i zaniósła „na dziennik podawczy”.

Nie dopuszczona do przewodniczącego wróciła do domu. Sza jak pijana. W domu była jak sparalizo-

wana, drętwiały jej ręce i nogi. Uszy miała przepelnione pokrzykiwaniami urzędników Wydziału Gospodarki Komunalnej. „Pan! tu nie będzie rządzić, my o wszystkim decydujemy”.

Wieczorem napisała testament: „Hela, jak dostaniesz ten list i jak pobierzesz pieniądze na mój pogrzeb, to najpierw ureguluj moje długi. Spłać zaraz pożyczkę, żeby ludzie za mnie nie płacili i oddaj panu J. 600 zł i B. 200 zł. I jeszcze mam dwie raty, to je spłać, a resztę obróć na pogrzeb, bo ja nie mogę dłużej żyć, bo jak sama wiesz, że co roku mam kłopoty z tym zezwoleniem. W tym roku też mi S. nie chce dać, a ja więcej już go prosić nie będę, wołę umrzeć z dziećmi aniżeli chodzić i płakać, ale myślę, że moja śmierć wzruszy jego sumienie i na przyszłość będzie miał więcej litości nad samotnymi kobietami, które nie mają warunków do życia tak jak nie mam ja.”

Hela, o ile by Ci brakło pieniędzy do pogrzebu, to sprzedaj wszystko to, co się nadaje i proszę Cię bardzo ubierz mi ładnie D. (córke — przypisek K. F.), a resztę, jak będziesz mogła”.

NIECO POZNIEJ

O jedenastej wieczorem odkręciła trzy kurki w kuchence gazowej, czwartego nie mogła, był zepsuty. Drzwi do pokoju dzieci została otwarte. O pierwszej w nocy jeszcze

żyła, słyszała jak ktoś dzwonił do drzwi. O czwartej przebudził się najstarszy syn. Wyszedł do kuchni i spostrzegł matkę leżącą bez życia na podłodze. Otworzył okna, zamknął gaz i zbudził telefonistę. Siostrę wysłał do telefonu, sam zajął się ratowaniem matki. Zaciągnął ją do najodleglejszego pokoju i stosował sztuczne oddychanie. Po piętnastu minutach przyjechało pogotowie. Po zastrzyku kobieta otworzyła oczy. Krzyczała, aby jej nie ratować, nie chciała żyć. W szpitalach spędziła ponad dwa miesiące.

W URZĘDZIE

Urzędnika przesłuchano w prokuraturze, przesłał też pisemne wyjaśnienie, w którym czytamy: „Sprawa została przez Wydział załatwiona prawidłowo”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, sprawa została załatwiona zgodnie z przepisami prawa, które cały szereg decyzji pozostawia kompetencji urzędnika. Czy jednak została załatwiona najwłaściwiej, po zostawiam to już ocenie czytelników.

W urzędzie opisany przeze mnie wypadek usiłuje się zbagatelizować. Sugerowano mi, że przyczyną samobójczego zamachu były chyba inne. Nie powiedziano wyraźnie jakie, dano jednak do zrozumienia, że bohaterka reportażu nie jest zapewne taką, za jaką uchodzi w moich oczach. Ktoś miał ją widzieć pijaną po wyjściu ze szpitala, zataczającą się pod gruszą. Wprawdzie nie może tego stwierdzić sta-

nowczo, sam pan rozumie, trudno jest spamiętać twarze wszystkich pententów. Ale coś w tym chyba jest. Siedziałem jak na szpilkach.

ZAKOŃCZENIE

Kobieta odzyskała wiarę w sprawiedliwość. Wystarczyła odrobina pomocy ze strony Ligi Kobiet, wystarczyła akcja wydziału opieki społecznej, który ulokował dzieci naszej bohaterki na koloniach letnich. Ale jej spokój jest tylko pozorny. W następnym roku czeka ją odnowienie dzierżawy. Boj się tej chwili, boi się, że kolomyjka zacznie się od nowa. Po rozmowie w urzędzie podzielał me obawy. Jeśli urzędnika nie wzrusza nawet śmierć, cóż go jeszcze może wzruszyć i przekonac? Cóż może go skłonić, aby ze swej władzy danoj mu przez prawo, zrobił użytek, który nie skrzywdzi innego człowieka? Czy zechce go zrozumieć, czy zechce wyjść naprzeciw jego najżywniejszym potrzebom? W sytuacjach zarezerwowanych dla dyskrecjonalnej władzy urzędnika, każda decyzja jest decyzją zgodną z prawem, każda jest decyzją prawidłową. Prokurator się do niej nie może przycepić. Parafrazując Gorkiego: „Prawo, to brzmi dumnie”. Jak to zrobić, aby brzmiało nie tylko dumnie, ale i serdecznie?

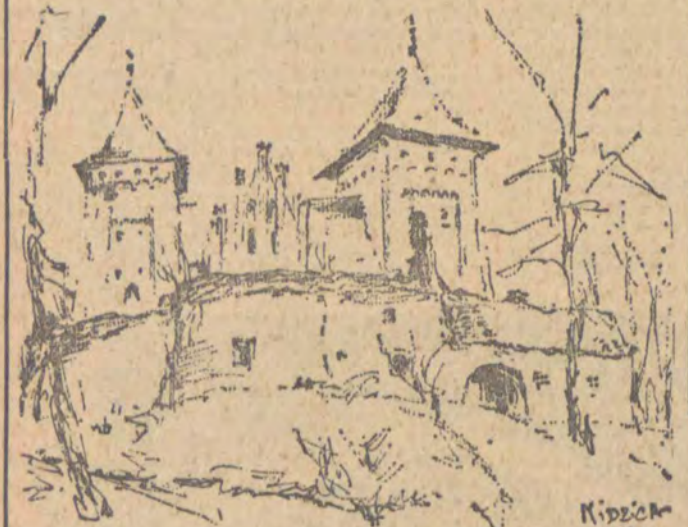
KONRAD FREJDLICH

PS: Wszystkie nazwiska i adresy w posiadaniu autora.

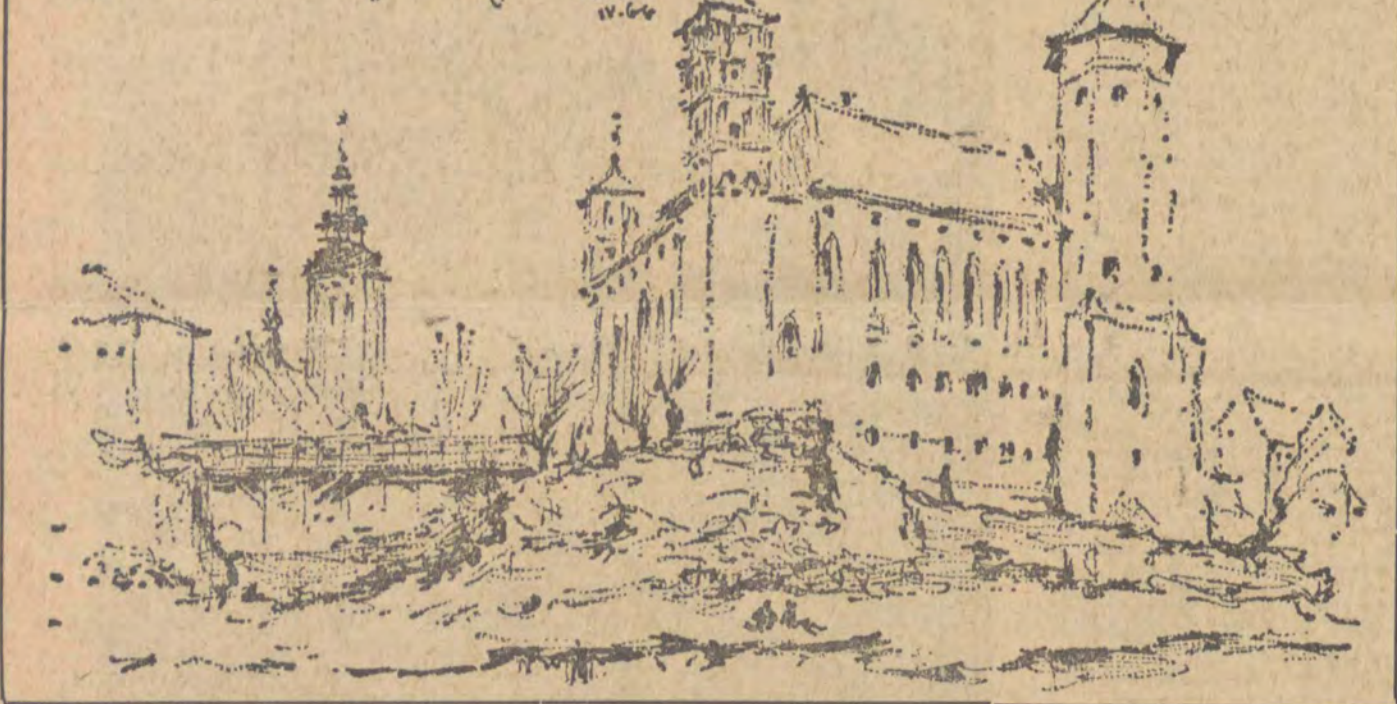


WŁODZIMIERZ ŚNIADECKI

MAZURY



Kiełca
11.64



POSTAW JULKU PIWO

Pchnął drzwi. Zawarczały jak żył pies. Za łada mężczyzna suchy z obrzniętym nosem. Przy skrzynce z piwem stała w kożuchach, przechylała czarne butelki. Gdy go zobaczyli w drzwiach, opuścili rece. Na szykach fioletowe, gruzłowate palce. Naftowa lampa na ścianie przykryta do gwóźdźka drutem. Druk rzuca obrznięty cień. Zamknął drzwi. Płomień wydłużył się, zafalował, po twarzach przeleciały cienie. Jeden podniósł butelkę. Grzywa podnosi się i opada, bulgocze w niej jak w rynnicy. Wierzchem ręką wytarł mokre wargi. Pusta butelka odstawił do przegródki. Podeszł do niego.

— Postaw piwo to ci pokaże drogę do sanatorium.
— Skąd pan wie, że idę do sanatorium?
— Pochylił się nad nim. Czuję go benzyna i piwem. Gruzłowatym palcem dotknął policzka chłopca.
— Postaw Julku piwo to ci powiem.
— Nie jestem żadnym Julkiem. Niech pan zabierze reke. Daj mu spokój — powiedział mężczyzna przy skrzynce. Miał przetrącony nos i niskie czoło.
— Dziekuje — powiedział w jego stronę.
— Nie masz co dziękować. Postaw piwo to pokażemy ci drogę. Tu trudno trafić. Był taki mądrala, poszedł sam, zabłądził, cholernie przemarzył i... przesadnie rozłożył rece, wyrzucił białka pocięte czerwonymi żyłkami.
— Tak, tak koleś nie bądź chytry, postaw piwo.
— No to jak? — spytał sprzedawca.
— Wyiał nienafde. Położył na łade. Rozsypany cukier przylepił się do mokrych palców. Mężczyźni wymowiali ze skrzynki butelki. Przewracali w ustach brązowy płyn.
— Rozpiął płaszcz i schował resztkę. Ten, który go zaczepił podeszł do niego.
— Słuchaj Julku pódziesz tak: najpierw w prawo — reka pokazała na odrapaną ścianę — cały czas droga. Doidziesz do krzyża. Tam beda dwie drogi, wąska i szeroka. ta wąska doidziesz do sanatorium. Poniżej.
— W prawo, do krzyża, wąska do sanatorium — powtórzył. Gdy był już przy drzwiach.
— Tylko uważaj, cholernie nawiał.
— Otworzył drzwi. Na ścianie wskoczyły cienie. Płomień w lampie znowu urosł. Wyladał jak małeńka topola.
— Ty Julku — chłopiec odwrócił głowę. Stał przy nim.
— Czego pan jeszcze chce ode mnie?
— Chce ci powiedzieć skąd wiem, że idziesz do sanatorium.
— Już mnie to nie interesuje.
— Ale ja ci to muszę powiedzieć, dałem słowo.
— No więc skąd pan wie?
— Popatrzył na kumpi. Zarechotali. Sprzedawca bawi się ołówkiem.
— Skąd — krzyknął!
— Powiedział przyciskając każde słowo.
— Bo jesteś błąd jak trup mały skurczybyku...
— Zamknął drzwi tracił dzwonek. Pod nogami zakręcił się lodowaty obłok kurzu.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

OPOWIADANIA

PROSTO W SŁOŃCE

Rozłożyli koc na polanie zalanej słońcem. Dorota weszła w zarośla, żeby zdjąć sukienkę i założyć opalacze. Nad nieruchomymi, prawie przezroczystymi listkami widziła delikatne, kształtne dlonie. Czubkami paleców chwyciła sukienkę i przewlokła przez głowę. Zatrzęotała w eozie ostrokąta chorągiewka opuszczała rece i znikła w gęstwinie.

Agnieszka niesie szyszkę, rozwarła, wyszła. Rzuciła szyszkę na koc, roześmiała się, pobiegła do świeroczących, żółtych kuleczek. Wyciągnęła raczkę. Kura urosła, dziobnęła raczkę. Pewna, że Agnieszka została dostatecznie ukarana, odeszła od żółtych kuleczek, stanęła na kawałku nagłej ziemi i zaczęła tłuc dziobem w rozrzana skorupę.

Z krzaków wyszła Dorota. Od jej ramienia oderwała się opatnia gałązka. Z czoła zsunęła włosy. Niesforny kosmyk uparcie wymyka się z palców. Przytrzymała go i ze złością wsunęła pod spinkę.

Piotr rzucił się na koc. Zaszleściło zeschłe drewno. Chyba nie znalazłby na całej ziemi niczego, tak jałowego jak ta szyszka. Wzór jałowoci. Poczuł cień. Dorota stoi krok od koca z głową odchyloną w słońce. Kocham ją — przemknęło mu przez głowę. Jakby usłyszała jego myśl. Odwróciła się i usiadła przy nim na kocu.

Agnieszka przykucnęła nad żółtymi kulkami. Jedna kulka w reku człowieka w czarnym garniturze, przebiła nożkami, buntuje się przeciwko brutalnej przemocy paluchów, paluch nacierała skrzydełko czerwona szmata.

Agnieszka przyszła i oznajmiła. — Ta duża kura pogryzła kurczaczka. Podniosła gałąź, goni stara kura. Człowiek ubrany w czarno pogroził palecem. Agnieszka zawróciła, cięła trawę. Ma to niby znaczenie, że wcale nie goniła kury, a w rzeczywistości jest małeńka złością na człowieka, ubranego w czarno za to, że przeszkodził jej w wymierzeniu kary jej paskudnej staruszce.

Polana przylega rzędem sosen do gospodarskiego obejścia. Dom jest drewniany z oszkloną werandą. Pomiedzy wiekowymi linami zawieszony hamak. Leży w nim mężczyzna w białej koszuli podwinietej do łokci. Noga założona na nogę, ręka zwisa z siatki, raz po raz dotyka ziemi, wrawia hamak w ledwo widoczne kołowanie. W cieniu gesty galezi twarz.

Podwórce czysto wymiecone. Na murku studni wiadro pogięte na brzegu. Do wiadra podeszły dziewczyny. Wyższa uniosła wiadro, wspięła się na palec, przechyliła opalone ciało i nim zaskrzywniała łańcuch, krzyknęła w betonową głęb. Głos powrócił, dziewczyny z uciechy klasnęły w dłonie. Przy wyciągnięciu wody rozprysła, chwile trwała na spiekłej ziemi, potem wsiadła jak atrament w bibułę. Przechyliły wiadro nad butelkę, srebrna struga sływa do zielonym szkłem, dziewczyn w fikała nozami, wpyły białe brzośnie, chichocza, na stopach skrzy zimna rosa.

Chmura zasłoniła słońce — rozczapierzony kurzy bazur, gęź kółczasto krzaka, może zupełnie co innego, tak wyglądała ta chmura. Nagle, jakby siekiera spadła na pień — drzewo słońca. Głowa Doroty prosto w słońce. Od sterty galezi pachnącej, leśny skwar — igliwie, żywica i biały odór akacji.

Przez rozparzoną polanę idą dziewczyny z butelką. Smagła, mają w sobie czystość źródlanej wody. Stony ostrożnie starają wiały na trawę, tam gdzie są gałązki, albo kamki, podkurczają palce, idą jak kocięta. Spojrzały na Dorotę. Pomyślał, nie mógłbym bez niej żyć, ale zaraz, jednocześnie z tą myślą, porządanie jednej z tych oddalających się dziewczyn. Dorota podniosła się i podparła łokciem. Strużka potu sływa pomiedzy pierś. O czym myślisz Piotrze — syciała. Skłamała.

Agnieszka przybiegła mocno zmaltretowana. Umorusana jak nieboskie stworzenie. Mamusi pić. Nie zabrali się do siebie prócz księżki i koca. Bardziej niż księżka przydałaby się teraz butelka oranżady. Mamusi pić. Dorota spojrzała na drewniany domek i powiedziała do Piotra: Idź może mają zsiadłe mleko. Piotr narzucił na barki koszulę. Zwiótkł się z koca. Nie lubił chodzić do chłopów i o coś ich prosić, nawet za pieniądze, czuł, że w każdym wypadku robił łaskę. Miał sny. W hamaku prawie na brzegu siedzi siwa tego kobiecia, tak jak przedtem mężczyzna wrawia hamak w kołowanie. Galezie okrywają ją cieniem. Oczy zapatrzone przed siebie, wyrażają beznamiętny spokój. Piotr szedł do niej, pomyślał jednak, że chyba nie jest gospodynią i odwrócił się...

...o ścianie oparte wieko trumny. Stoi prosto w słońce. Czeka. Z chłodnej sieni wyszła dziewczynka. Trzyma w reku kromkę chleba. Podnosi chleb do ust, odgryza kęs, żuje, uśmiecha się do Piotra.

Rozmawiamy z ks. dr Leonardem Świdorskim

„WALCZĘ Z SYSTEMEM DWULICOWOŚCI...”

Tu w karkonoskiej Przelece panuje cisza, w tym niezmiernie starannie utrzymanym domku, położonym u podnóża zalesionego pagórka. W niewielkim ogrodku stoi kilkanaście uli, na progu donośnym ujadaniem witają przybysza trzy jamińki. Gospodarz, wysoki stwy mężczyzna w szarym garniturze zaprasza gościnnie do wnętrza.

To tu, przy tym rozłożystym debowym biurku napisane zostały dwie książki, które — można to powiedzieć bez przesady — wstrząsnęły naszą opinią publiczną. Niedawno właśnie ukazał się drugi tom wspomnień księdza Leonarda Świdorskiego pt. „Oglądały oczy moje”. Autor spędził 40 lat w stanie kapłańskim zajmując w hierarchii kościelnej szereg poważnych stanowisk.

Doktor filozofii (Paryż) i teologii (Rzym) był: kierownikiem duchownym wyższego i niższego seminarium w Płocku oraz kanclerzem kurii biskupiej w Kielcach.

— Chciałbym przede wszystkim spytać księdza doktora o tych ludzi, którzy po opublikowaniu wspomnień okazali się przyjaciółmi.

— To interesujący wachlarz. Są

wśród nich księża i zakonnicy, którzy tu bywają, rozmawiają ze mną na tematy poruszone we wspomnieniach, ale z różnych względów nie chcą się ujawniać, choć reprezentują poglądy zbliżone do moich. Rozumiem i szanuję to ich dążenie do zachowania anonimowości.

Wśród „przyjaciół”, którzy chcieli się do mnie zbliżyć, błędnie interpretując moje wystąpienie, znaleźli się także różnego rodzaju sekciarze. Sądziłem np. że będzie mnie można „skaperować” do sekty Świadców w Jehowy. Spotkali się ze zdecydowaną odprawą. Byłem i jestem księdzem katolickim. Jestem przeciwko części hierarchii, a nie przeciwko Kościołowi. Walczę z systemem dwulicowości, na którym się ona opiera.

— A wrogowie? Czy ze strony części fanatycznych ludzi, nie rozumiejących sensu wystąpienia księdza doktora, na przykład ze strony sąsiadów, czy nie było wrogich wystąpień?

— Nie. Moje stosunki z sąsiadami układają się bardzo poprawnie. Jest wiele okazji do utrzymywania dobrych kontaktów. Ale ze strony

biskupa zawiadującego diecezją wrocławską było kilka wrogich wystąpień. Oskarżano mnie m. in. o ateizm, choć wiem, że władze kościelne są poinformowane iż mam w domu kaplicę i odprawiam mszę świętą.

— Czy decydując się na opublikowanie wspomnień nie obawiał się ksiądz ekskomunikacji, kar w rodzaju doktryny?

— Oczywiście wiedziałem, że się na mnie posypią, i rzeczywiście. „Mój” biskup kielecki, Kaczmarek, dawniej przyjaciel, a później gdy ośmieliłem się mówić prawdę, zacięty wróg, zdążył to uczynić przed śmiercią. Ale ani Kaczmarek, ani kardynał Wyszyński ani razu nie odpowiedzieli na moje zarzuty sformułowane w pismach, które do nich wysłałem. Czekałem na proces o zniesławienie. Procesu nie ma, co również potwierdza fakt, że moje zarzuty są prawdziwe.

Wiem, że postąpiłem dobrze i uczciwie. Przez wiele lat starałem się wykorzystać zło „w rodzinie”. Bez skutku. Zdecydowałem się więc ujawnić je publicznie. Nie wolno bowiem człowiekowi patrzeć na nadużycia i solidaryzować się z nimi przez milczenie.

— Czy to zło nie jest powszechnie znane polskiemu duchowieństwu?

— Na pewno tak. Jest wielu takich, którzy je widzą, a którzy z konformistycznych względów nie reagują i są obojętni. Ale ja przecież miałem dobrą parafię w Nawarzewicach, która dawała rocznie ok. 100 tys. zł dochodu. A jednak zdecydowałem się podjąć tę walkę. Bawiem komu więcej dano, od te-

go więcej się oczekuje. Ten sam występki, który jest do darowania zwykłemu człowiekowi, nie może ująć płazem człowiekowi, któremu dano „rząd dusz”, przywileje, który jest calowany w reke...

— Czy zamiarem księdza doktora było m. in. udowodnić, iż członkowie hierarchii kościelnej i kler w ogóle, to po większej części zwykli ludzie, często mali.

— Na podstawie doświadczenia całego swojego życia powiedziałbym, że więcej spotkałem ludzi wartościowych moralnie wśród świeckich niż wśród księży. To prawda dla mnie bardzo bolesna. Wynika to stąd, że księgom narzucono sztucznie życie. A jeśli narzuca się ludziom małym i niezdolnym do poświęceń taki właśnie tryb życia — to wychodzi szpaka: werbalnie uznają i gestykularnie wyznają. Uważam, że 12 apostołów dokonało więcej niż 12 tysięcy księży. Bo księża to ludzie, często i nie najgorzej, ale banalni, szczerkami w Polsce. A przy tym to zakłamanie: Oficjalne sfery kościelne np. posługują się liczbą ok. 25 mln katolików w Polsce. Ja wiem, na podstawie 40-letniej praktyki kapłańskiej, że spełniających minimum obowiązków katolickich jest w Polsce ledwie cząstka tej liczby. Reszta to fikcja.

— Teraz inne pytanie. Co ksiądz doktor sądzi o konflikcie między hierarchią kościelną, a władzą państwową w naszym kraju?

— Podziwiam cierpliwość i takt władz państwowych. Przeciwnie kardynał Wyszyński usiłuje zmobilizować episkopat i katolików, by wprząc ich w rydwan polityki zachodniej i lekceważyć fakt, że fak-

tycznie działa sprzecznie z interesami Polski. Ale to nie pierwsza. „Kościół” jest moją „pierwszą miłością” i stąd tak wielkie zainteresowanie jego sprawami i stąd moja nienawiść do zła, które w nim istnieje. Przygotowuję właśnie do druku w oparciu o dokumenty historyków kościelnych, prace zatytułowaną „Kościół — polityka”. W książce tej chcę pokazać, jak Kościół na przestrzeni swych dziejów, dążąc do określonych celów politycznych, nie stronił od fałszerstwa dokumentów, zrywania traktatów, krzywoprzysięstw, nadużycia świętości itp. Inna praca, którą przygotowuję zatytułowana „Świętej Joanny D'Arc — historia przedziwna”. Wiadomo, że św. Joannę potępił trybunał złożony z 12 biskupów (za wiedzą Rzymu), bo tego wymagała polityka. W skład trybunału, który później zrehabilitował Joannę wchodził m. in. biskup, który ją potępił. W rehabilitacji, jak w potępieniu Joanny, rząca decydująca była polityka. Handlowano człowiekiem.

— A inne prace księdza doktora? — Złożyłem w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej trzecią, a właściwie chronologicznie pierwszą część wspomnień, obejmującą okres między 1935 r. Znaczne partie poświęcam wspomnieniom z Łodzi, która jest moim rodzinnym miastem. Jak Pan więc widzi, atmosfera wokół mojej osoby wytworzona przez hierarchię kościelną nie przeszkadza mi w pracy. Spręża jej także piękna okolica i panujący tu spokój.

— Dziękuję księdzu doktorowi za interesującą rozmowę.

Rozmawiał: JOZEF POTĘGA



TERESA WOJCIECHOWSKA

Posucha w Estradzie

Pustynia teatralna w miesiącach letnich należy już do tradycji i jeśli w tej sprawie odzywają się głosy protestu to tylko z przyzwyczajenia, bo w zmianie wszyscy przestali już wierzyć. Natomiast dobra tradycja Estrady było organizowanie, w tym właśnie okresie, imprez artystycznych. A tymczasem w Estradzie też posucha. Brak nie tylko imprez masowych, co to kiedyś całe miasto oraz MPK stawiały na nogi, brak również tych mniejszych, bardziej kameralnych.

Dwóch kontrahentów ma Estrada do organizowania swych imprez: Hala Sportowa (właścicielą lożum) i Pagart (dostawca gwiazd). W Hali Sportowej od kwietnia trwa remont, ale nie jest to strata zbyt wielka, bo w tym czasie Pagart oferował jedynie Holliday'a, ale był on i tak dla Estrady za drogi. Ten estradowy zastój imprezowy trwa już od dość dawna. W ciągu całego roku ubiegłego zakupiła Estrada od Pagarta tylko pięć imprez, w tym jedną wyłącznie dla województwa (Helen Shapiro, Kalanaz, Animalsów, Heinza Kunerta i dla województwa zespół Kuczerzy). W tym roku — a mamy już wrzesień za pasem — jedynie Hollies, których obojętność młodzież usiłowała pokazać sędziom na Pl. Wolności, co wprawdzie nie umywało się do „występów” w Gdańsku, ale i tak wprawilo w niepokój władze miasta.

Co mówi o tym Estrada? Po pierwsze: Pagart przedkłada mało propozycji, po drugie: nie wszystkie są dla nas do przyjęcia, po trzecie: Hala Sportowa jest w remoncie, po czwarte: nawet wówczas, gdy jest czynna, nie zawsze możemy z niej korzystać.

Jedynym niemal miejscem imprez Estrady jest właśnie Hala Sportowa. Imprezy nagartowskie są drogie i dopiero ta liczba miejsc pozwala na ustalenie jakichś godzinowych cen biletów. Ale Hala jest obiektem sportowym. Z lodowiska korzysta kadra hokejowa, tu odbywają się treningi i zawody. Hala ma swój program zajęć i imprez sportowych, zaplanowanych na długie miesiące naprzód i wywołanie jej przez Estradę wymaga uzgodnienia terminów na 2-3 miesiące wcześniej. A Pagart zawiadania o ewentualnych imprezach w terminach krótszych. Zaś odwoływanie imprez sportowych jest niezwykle kosztowne.

Inna sprawa, to warunki odbioru w Hali. Wprawdzie niektórzy nazywają ją Pałacem Sportowym (akcent na — sportowym), warunki akustyczne na pewno nie były najistotniejszym problemem rozpatrywanym przy jego budowie. Nasza Hala ma bardzo dobrą radiofonizację — możliwie najlepsza dla tego typu obiektu i nadaje się znakomicie na imprezy typu zespołowego, czyli mówiąc po prostu — głośniejsze (jak np. chociażby Mariniego). Nie nadaje się natomiast na imprezy kameralne, czy tym bardziej recitale solistów, szczególnie tych ocladalszych. Dlatego właśnie nie ogladaliśmy w Łodzi np. Marleny Dietrich, która odmówiła występu w tej właśnie sali. Była natomiast za droga na sale mniejsze, w której bilety osiągnęłyby ceny astronomiczne, jak na nasze kieszenie.

Imprezy organizowane przez Pagarta są bardzo drogie, przeważnie sięgają sumy 100 tys. zł. Dlatego niektóre z nich odrzuca Estrada jeśli nie ma pewności, że „chwyca”. Odrzuciła na przykład recital Aznavoura po smutnych doświadczeniach z Gilbertem Beaud, którego występ trzeba było odwołać niemal w dniu występu, bowiem kasa sprze dała tylko około 500 biletów. Koszty wywożenie Hali są bardzo wysokie, tak, że w sumie nawet przy pełnej frekwencji Estrada zaledwie pokrywa koszty imprez. Estrada boi się odpowiedzialności finansowej, boi się deficytów i to jest chyba złowna przy-

czyna jej nadmiernej ostrożności. Np. Estrada nie jest zainteresowana w sprzedaży biletów zakładom pracy i instytucjom. W wyniku tego wszystkiego dochodzi do sytuacji tak paradoksalnych jak ta, że Estrada, bojąc się ryzyka finansowego nie zakupiła rewii lodowej „Holliday on ice”, natomiast zakupiła ją bezpośrednio Hala Sportowa i chyba całkiem nieźle na tym zarobiła.

Imprezy nagartowskie są drogie. Dlaczego? Bo drogie są zagraniczne sławy. Kupuje się je za dewizy, a jest to sztuka, do której państwo nie chce dopłacać. Pagart musi być więc samowystarczalny finansowo, Pagart drogo płaci, Pagart drogo sprze daje. Kogo nie stać — niech nie kupuje. To nie jest artykuł pierwszej potrzeby i pomoc rozwój kulturalny społeczeństwa na tym nie straci jeśli obywatele tego nie obejrza Zresztą i tak bierzemy gwiazdy, które przeżyły już swoje najwyższe sukcesy, a nie możemy na przykład sprowadzić do Polski ani Beatlesów, ani Armstronga.

Pagart przy tym istotnie zakupuje ostatnio mniej imprez, niż w poprzednich latach. I zapowiada, że będzie sprowadzał jeszcze mniej.

Pierwszy głód Polaków na zagraniczne gwiazdy estrady został już w dużym stopniu zaspokojony, zainteresowanie tym typem rozrywki zmniejszyło się znacznie, zwłaszcza, że jest to rozrywka bardzo droga. Ktoś, kto odkłada na książeczke mieszkaniową, czy samochodową, dobrze się zastanowi czy wydać 40-100 zł na bilet. Możemy dodać od siebie, że ktoś, kto nie odkłada na samochód będzie się zastanawiał jeszcze dłużej.

Tak więc o przyszłości imprez zagranicznych Pagart wypowiedział się dość jednoznacznie. Czy oznacza to zmierzch Estrady? No bo jeśli imprez będzie coraz mniej, jeżeli w dodatku (tak jak w przypadku „Holliday on ice”) organizowanie ich opłaca się lepiej Hali Sportowej, która nie potrzebuje do tego pośrednictwa Estrady, to co zostaje dla Estrady? Myślę, że instynkt samoobrony Estrady pomoże jej znaleźć jakieś wyjście, podsunie jakieś pomysły. Jeśli można zaproponować tu coś od siebie, to: chłonność naszego konsumpcyjno - artystycznego rynku wcale nie jest mała. Istnieje ciągły głód programów rozrywkowych rewii, kabaretów, kabareci-ków itp. Popularność Bogdana Łazuki, Jacka Fedorowicza, Ireny Santor, Sławy Przybylskiej, Mariana Zatulskiego i wielu wielu innych jest u nas chyba nie mniejsza niż popularność ekskluzywnych Gilberta Beaud, czy Juliette Greco. Mamy swoje własne gwiazdy i wcale nie za dewizy, tylko za złotówki. I wcale nie trzeba ich pokazywać w 9-tysięcznej Hali Sportowej, ale w salach mniejszych, bardziej kameralnych, w warunkach bardziej kulturalnych, gdzie w szatni nawet płaszcz można zostawić. Jeżeli umielimy zmontować rewie — gigant (na jeden czy na wiele więcej występów), to może udałoby się zmontować kilka mniejszych, ale za to sensownych zespołów wariete, które pokazałyby co potrafia narodowi polskiemu? Można przecież zapraszać zespoły istniejące, np. kabarety, których w Polsce wcale nie jest tak mało. I tu a propos. Estrada ma przecież swego „Kpiarza”, na dobrą sprawę jedyny kabaret w Łodzi, tylko, że przygotowany dla województwa i występujący w województwie. W Łodzi dał jeden kurtuazyjny występ. A szkoda. Kabarety — podobnie jak myślenie — mają kolosalną przyszłość. Może i w Łodzi, chociaż Łódź nie ma do kabaretów szczęścia.

Tak czy inaczej, Estrada musi pomyśleć o jakimś wyjściu z impasu. Nim się od niej całkiem odzwyczajamy.

ANTONI SZRAM

Biennale przez oko EL - 104

O Biennale Grafiki w Krakowie wiemy wszystko lub prawie wszystko. Dużo artykułów, dużo opinii, dużo hałasu... Jakże konkluzje? Początkowo nasuwało się kilka impresji ogólnych. Na przykład: jaką też Polska zajmuje pozycję w konfrontacji z grafiką światową? Czy i co wiąże ze sobą na przyszłość? Który okręg przoduje? Kto jest najlepszy itd.

Zdarza się często, że rozkładamy rece, nie potrafimy — mimo najlepszych chęci — udzielić odpowiedzi. Pytań było coraz więcej, nasuwały się tym natrętniej, że wieloletni spór o pierwszeństwo między Krakowem a Warszawą przerodził się w r. 1960 w krakowskie Biennale Grafiki o zasięgu ogólnopolskim, które w r. 1966 osiągnęło rangę międzynarodową. Wokół tak poważnej imprezy narosło wiele mitów. Każdy je do swojego rozumie i po swojemu dla swoich potrzeb chciałby wykorzystać. Tymczasem wystarczy starannie przejrzeć obszerną dokumentację oraz katalog, aby dojść do wniosków bardziej konkretnych, z wyliczeń wyluskać pewne uogólnienia regionalne, które uszły uwagi recenzentów, a stanowią ciekawy materiał właśnie dla przeciętnego konsumenta sztuki. Słowem, chcąc dotknąć nie meritum sprawy, lecz rejestru efektywności wysiłków artystycznych.

A więc trzeba wykonać prosty rachunek Pomysł na tyle powszedni, że powielany w tysiącach referatów. Nikt jednak — mimo to — nie odważył się porównania cyfr zastosować przy ocenie Biennale. Choć w sprawozdaniach nie raz uciekano się do tych obliczeń, tabel i liczb: maszyn elektronicznych EL-104.

Niezupełnie żartem nawiązałem do maszyn elektronicznych; czy ten sposób interpretacji dyskwalifikuje cybernetyczne spojrzenie na zjawisko artystyczne? Bynajmniej. Przypomina tylko, abyśmy ciesząc się z rozszerzenia horyzontów, jakie daje ten punkt widzenia, nie zapomnieli o konsekwencjach ciągłego rozwoju wiedzy i innych dyscyplin nauki pomocnych w tak skomplikowanych dziś metodach oceny sztuki. Poprobujmy. Wybrałem dziesięć miast reprezentujących sekcję polską na Krakowskim Biennale Grafiki w roku bieżącym. Wzięło tu udział prawie 500 artystów z 40 krajów, łącznie wystawiając 1000 prac. W tym Polskę reprezentowało 123 autorów, przedstawiając 238 prac.

I MIĘDZYNARODOWE BIENNALE GRAFIKI, KRAKÓW 1966

lp.	miasto	liczba autorów	ilość prac	liczba autorów z maksymalną 3 prace na wyst	GRAND PRIX	nagrody równorzędne regulaminowe
1.	KRAKÓW	51	95	17	—	2*)
2.	WARSZAWA	20	42	9	—	—
3.	KATOWICE	10	21	3	—	—
4.	ŁÓDŹ	7	18	4	—	—
5.	TORUŃ	6	14	2	—	—
6.	NOWA HUTA	5	12	3	—	—
7.	WROCŁAW	6	10	1	—	—
8.	POZNAN	3	5	1	—	—
9.	GDANSK-SOPOT	2	4	—	—	—
10.	ZIELONA GÓRA	2	2	—	—	—

*) Józef Giełniak, Bukowiec, pow. Jelenia Góra — indywidualista! Trzeci z wyróżnionych Polaków „Nagrodą równorzędną”.

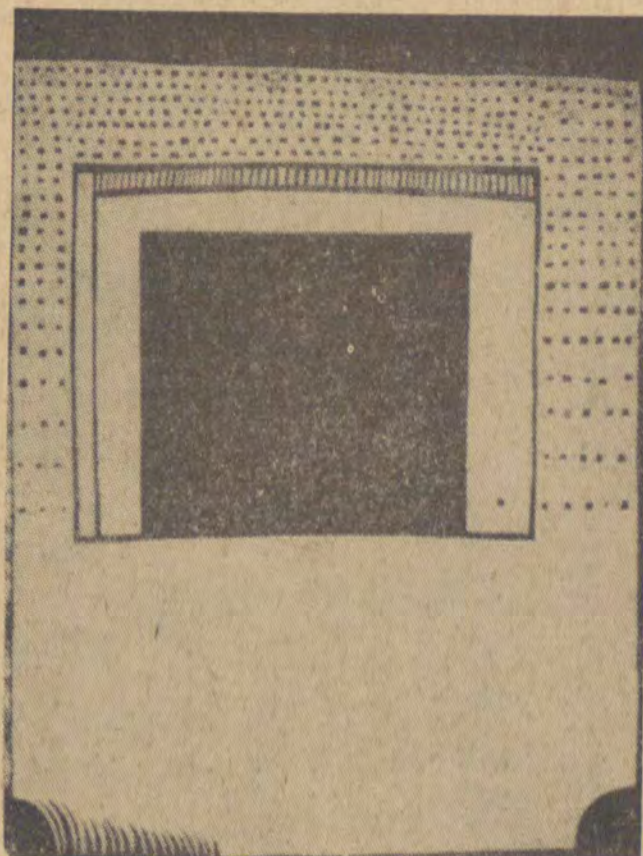
Tabela dobitnie ilustruje miąższość przewagę Okręgu Krakowskiego. To już nie przewaga, że użyje terminu sportowego, to reprezentacja państwowa. Ta „reszta” dzieł wymydlila się ostatnio. Co o tym sądzić? Czyżby pozostałe ośrodki nie dysponowały kadrami? Och, nie! To pozor. Biennale obeślano i to jeszcze jak. Potem dokonano poważnej selekcji, ułamek zakwalifikowano na wystawę. Wielu jednak krytyków do dziś jeszcze uważa, że podczas pierwszej eliminacji panowała zbyt duża tolerancja, że wyboru dokonano nie jak na Biennale (rodzaj olimpiady, gdzie decyduje kadra), a jak na zwykłą ogólnopolską wystawę, co z kolei musiało obniżyć ogólny poziom działu polskiego.

Myśl o rozwoju rodzimej grafiki, o czynniku dopinającym inne miasta (też w Polsce) wydaje się cenniejsza. Nie można pochopnie krytycznie wnioskować. Przyglądający natomiast wydaje się inny fakt, że na 238 prac graficznych zaledwie 143 reprezentują „resztę” kraju, prawie 50 proc. pochodzi z Kra-

kowa. Pomijam Warszawę (niech się o to pomartwi kol. Marian Bogusz i rozważy na kolejnym posiedzeniu Klubu Krytyki w Domu Plastyka), ale Katowice, Łódź, Toruń, Wrocław, Gdańsk — Sopot, Lublin itd? To kleska. Łatwo się domyślić, że taka uwaga otwiera dopiero dyskusje. Stwierdzenie: jest źle, wyzwala w nas falę szczerzego entuzjazmu, narusza marazm prowincjonalnego życia artystycznego, pobudza do sporów, nie pokoi i prowokuje, zachęca do wypowiedzenia się po jakiejś stronie. Wreszcie sprawa ostatnia: jak przedstawia się sytuacja łódzkiej sztuki powielanej? Wszędzie mnie pytała, dlaczego łódzianie ostatnio nie „blyszczą”. Tak wysoko notowani artyści plastycy okropnie blado rysują się na tle grafiki światowej. Tym razem obserwowałam bardzo wnikliwą analizę zestawów. Biennale przeprowadzona przez jurorów. Okazało się, że zatrudniali prace najsłabsze technicznie, fascynujące kultura opowiadania i zapisu graficznego własnych refleksji. Hannes Postma, Kumi Sugai i inni. Miłość, smak, gust, moda, zmieniała się jak samo życie. Przed rokiem Stanisław Fijałkowski miałby szanse nawet na wyróżnienie, dziś został tylko zakwalifikowany na wystawę. Na tegorocznym Biennale ceniono przede wszystkim „kult rzemiosła” i precyzję zarówno od strony warsztatu jak i analityczną, wyrażoną w określonym stosunku do życia. Tak samo Ireneusz Pierzgałski („Wsta pienie” — litografia), Leszek Różga, Henryk Pióciennik, Romuald Płonka, Janina Tworek — Pierzgałska, może oni? Trudno znaleźć jednoznaczna odpowiedź. W licznych artykułach o Biennale zamieszczanych w szeregu czasopism kulturalnych z trudem udało mi się odszukać dwa nazwiska: Pióciennika i Różgi. A więc jednak?... Niewątpliwie ich rezygnacja bombardowały widza niechęć i okrucieństwem mistrzowsko znaczonej kreski. Widzowie mogli liczyć na moment zakoczenia i niespodzianki oglądając plansze L. Różgi. Dowiódł on raz jeszcze, że uczciwość rzemiosła na którymś lafa pozostawia swój dodatni ślad, stała się teraz ideałem poszukiwanym przez jury Biennale. Widać to na wszystkich nagrodzonych pracach (wymienie tu tylko polskich autorów — Mieczysław Weiman, Jacek Gaj, Józef Giełniak). Ponorze watek opowiadający każdy zamierza tu stworzyć środkami ściśle graficznymi (czerni i biel) niezwykły świat własnej wyobraźni.

Z uznaniem podkreślam niezwykły talent i subtelność doskonale wykonanych wagnerianie „kisz” graficznych łódzkich artystów i wierny ich duchowi dialog z otoczeniem, z rzeczywistością, w której egzystują, miastem, w którym żyją, z życiem samym. Cóż, kiedy faktem jest, że ci świetni artyści nie trafili jak dotąd do przekonania krytyków.

W miarę fascynacji krakowską imprezą głośno przeświadczenie o istnieniu arcydzieł regionalnych. Potrzeba dopisywania tych przewrotnych uwag stanowi sygnał nienokoju, lek przed porażką dnia jutrzejszego.



St. Fijałkowski — linoryt, 1965

MARIA
KORNATOWSKA

Kanikuła a film

Kanikuła jest okresem uprzywilejowanym. W tym błogosławionym czasie pojawiają się obficie węże morskie, różnego rodzaju potwory i latające spodki. A u nas jako, że jesteśmy narodem pryncypialnym, rozpoczęła się dyskusja nad ekranizacją Trylogii Sienkiewicza. Konsekwencje i wnioski płynące z dyskusji (której uczestnikom uczynił swych gościnnymi la mów tygodnik „Kultura”), wydają się znacznie poważniejsze niżby na to wskazywała sama okoliczność kanikuły. Są bowiem ludzie, którzy uważają, że przeniesienie na ekran dzieła znakomitego pisarza stanowi obowiązek narodowy, co brzmi już całkiem groźnie i wcale niekanikularnie.

Może powoduje nimi przekonanie, że skoro skończyła się tzw. polska szkoła, należy stworzyć szkołę głośnego czytania albo używając modniejszego i nowocześniejszego terminu — klub dobrej książki.

Trzeba jak najszybciej sfilmować Trylogię, bo to dobra literatura — orzekł jeden z dyskutantów. Co ma pierśnik do wiatraków — chciało się zakrzyknąć językiem szkolnej dziewczyny. Ale byłoby to głos wotującego w pustyni i w puszczy. Za granicą, gdzie muje się bestsellery, bo gwa rantują powodzenie kasowe, a u nas, bo to narodowy obowiązek i nie ma gadania.

Okazuje się jednak, że niełatwy jest żywot narodowego arcydzieła. Bo to musi i wychowywać i pokrzepiać i walory odpowiednie posiadać, znaczy się poznawcze i polityczne. Dlatego też dyskutanci bardzo serio zaczęli rozważać problem czy można traktować Trylogię jako podręcznik historii dla narodu i próbę wielkiej syntezy intelektualno-historycznej. Niektórzy doszli do wniosku, że nie należy i okrutny sąd wy padł dla pana Henrykowego dzieła dyshonor. Z najcięższych do niego strzelano kolubryn.

Jeden nauczyciel języka polskiego, niejaki pan Grzybow ski zaobserwował nawet, że Trylogia wychowywała przedwojenną młodzież „w duchu cielechci do mas ludowych i klasnego szowinizmu” i dodał z całą powagą, jaka w tak ważkiej kwestii przystoi, że przecież niewolnicza ekranizacja np. „Ogniem i mieczem” byłaby absurdem poznawczym i politycznym. Zjemy w świecie socjalizmu, a to do czego zobowiązuje. Wzrost historyczna Sienkiewicza musi więc być skorygowana, jeśli zaś niektórzy spośród od biorców potraktują to jako skandal i szarganie świętości, to trudno. Czasem trzeba

leczyć i metodą Kuracj wstrząsowej”. Przypuszczam, że światły ten i surowy mąż nader skutecznie wyleczył uczoną przez siebie młodzież z wszelkiego rozumienia i miłości dla uroków ojczyznej literatury.

Swój droga, ciekawe czy np. Francuzi przed sfilmowaniem „Trzech muszkieterów” roztrzasali trafność i aktualność wizji historycznej pana Dumasa. Czy np. we właściwym, z dzisiejszej perspektywy, świetle przedstawił on postać kardynała Richelieu albo królowej? Ale Francuzi to naród nieboważny, frywolny, żądny respektu dla obywateli, którego narodowych nie posiada iacy. I kto wie, może historii ucza się ze specjalnie w tym celu wydawanym podręczników a nie z powieści albo filmów?

Inna rzecz, że nasi artyści zawsze nam moc kłopotów sprawiali. W ciężkich dla narodu chwilach, taki nie przy mierzając Fredro pisaniem nie poważnych i żoła zabawnych komedii się zajmował. Chopin miast tworzyć jak przystało opery narodowe, nie przystojne jakies walce a mazurki wgrzywał. No i teraz ten Sienkiewicz... Napisałby dostojny i nudawy epos historyczny z perspektywą i swa teza, nikt by tego nie czytał i byłby spokój. A tak wszyscy sa w rozterce.

Powieść barwna, awantur nicza, pasjonująca, ale co tu dużo gadać, nieogłębiona należeć, bez wielkich ambicji filozoficznych i w dodatku z historycznymi zafalszowaniami. A przecież wiadomo: arcydzieło. I co z tym fantem zrobić? Jedni mówią: niech będzie film przygodowy, barwny, dy namieznaw, z urzekającymi postaciami bohaterów. Inni na to że słusznym oburzeniem, że tak nie można. Arcydzieło literatury narodowej nie można przecież bawić ani interesować. Uczyć musi, odzwierciedlać a wychowywać. Chceć zwaśnione strony porozdzić, p. Trepczyński wybrał trzecia możliwość — „poważny film przygodowy, obrazujący lena de narodowa”. Przygodowy, ale poważny — bardzo słuszne i przewidujące rozwiązanie.

Można jeszcze powieść przy kroić do wymagań dzisiejszego gustu. Wydrawa pana Skrzetuskiego ze Zbaraża, albo śmierć Wołodyjowskiego posłużyłyby jako przyczynek do dyskusji nad sensem heroizmu. Perypetie Zasłoby stanowią świetny materiał dla rozwinięcia i wzmocnienia kampanii antyalkoholowej. Dzieje Kmicica potraktować można jako historię reedukacji chuligana — patriotę. Nie wzięcie też, że głęboka wniki wość naszych scenarzystów i reżyserów potrafi wydobyc z jaw wewnętrzny dramat Skrzetuskiego, jako człowieka walczącego o niesłuszną sprawę. W ten sposób otrzymamy dzieło o także aktualnej problematyce. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć historycznych nienorozumień i nieścisłości można do filmu dodać komentarz opracowany przez wybitniejszych niż Sienkiewicz znawców historii. Na ekranie toczy się film przygodowy, oczywiście poważny, a głos spikera objaśnia, że to wszystko nieprawda, bo w rzeczywistości było zupełnie in-

aczej. Salwujemy wówczas nasze sumienia, czyniąc zadość i Sienkiewiczowi i historii.

Dziwie się tylko, dlaczego nikt z dyskutantów nie zwrócił uwagi na wyraźne antyszwedzkie akcenty „Potopu”. „Ogniem i mieczem” wszyscy odczytali jako baszkwil na lu dowe powstanie ukraińskie, a Czeszko obrazili się nawet w imieniu swego imiennika Chmielnickiego za niezbyt pochlebny kontrefekt. Takli mu Sienkiewicz wymalował. (Oczywiście Chmielnickiemu, a nie Czeszce). Nikt jednak nie uiał się za dobrym imieniem Szwedów, którym pisarz czarnych barw nie szczędził, szkalując okrutnie. A jeżeli Szwedzi o bejrzawszy ekranowy „Potop”, odnadała w nim historycz ne zafalszowania, obraża się i przestana przyjeżdżać do Szwajcarii. Grozi nam utrata bezcennych dewiz, zmniejszenie ruchu turystycznego. Strach domyśleć. Nie zamierzam jednak, wbrew pozorom, włączać się w spór nad wartościami historycznych sądów Sienkiewicza. Myślę, że nie w tym tkwi największy szkopuł przyszej adaptacji filmowej, ani też walory książki. Bardziej możliwe, że sam Sienkiewicz nie traktował przedstawionej przez siebie wizji historycznej równie poważnie jak jego antaoniści. Był przede wszystkim pisarzem, a dopiero potem ideologiem, czego mu wielu mniej odeń utalentowanych, nie mogło i nie może przebaczyć. Ale nie zapomniałby, że był także autorem kilku utworów demaskatorskich społecznie, jak to się teraz zwiklo pięknie mówi. Nie warto bronić Sienkiewicza. Obroni się sam. Wywidzę cało z najościwszych orzesi, miałym nadzieję, że także i z tych, jakie mu zeolta dzielni rzezerwa kamery. Zaciekle zwolennikom historycznej prawdy warto jednak zwrócić uwagę na bare drobnych, a także istotnych spraw. Spraw, które skadnada sa truzimami.

Sienkiewicz pisał „Ogniem i mieczem” z pozycji współczesnego epoka kronikarza. Świadczy o tym dobitnie sposób prowadzenia narracji, styl powieści.

Narrator nie podkreśla swego dystansu, wobec przedstawionych wydarzeń, tak jak to czynił np. Prus w „Faraonie”. Wrecz przeciwnie, jego widzenie determinowane jest snosobem myślenia i mentalnością bohaterów powieści, świadomością epoki. Wystarczy przecież porównać Trylogię z Pamiętnikami Paska, miast ciałe powoływać się na autorytet Górki albo Brzo zowskiego. Ogranicożność widzenia Sienkiewicza, która mu tak wszyscy wymylna, była zatem w wielu przypadkach ograniczożością zamierzona. Sienkiewiczowi nie ty le zależało na historii, ile na efekcie artystycznym na odnaniu klimatu epoki.

Niezależnie zaś od owych obiektywnie słusznych racji (których pisarz zreszta nie ukrywał) i w postępowości, bunt Chmielnickiego zagrażał dobru i politycznym interesom XVII-wiecznej Rzeczypos politej. To każdy historycz nie myślicy człowiek powinien rozumieć, i ówczesne państwo musiało wszelkimi siłami dążyć do złuszczenia go.

by ustrzec się przed zewnętrzny nieprzyjaćiołmi i groźba utraty bytu państwowego. I tak to właśnie przedstawiał Sienkiewicz rozumując, iż sprawa artysty nie jest rozwiklywanie kretych ścieżek historii. Nie sadze żeby z tego powodu należało mu zaraz przykleić etykietkę reakcjonisty.

Coś może być bowiem i po stepowe i słuszne i zarazem w określonych okolicznościach — szkodliwe. Rzecz w tym, że nasi domorośli historykologowie traktują historie jako abstrakcywna walke dobra ze złem, postępu z wsteczniwtem. Wszyskie zjawiska widza wyłącznie w kategoriach czerni i bieli. Jak zwykle szwankuje dialektyka. Postępowość sprawdza się w perspektywie historycznej. W momencie stawania się, historia jest twzlem kibiciwym od sprzeżności i intrg a nie odartym z żywego miesa wydarzeń, abstrakcywnym schematem intelektualnym.

Któż z nas odgadnie czym kierował się Chmielnicki, wy wołując powstanie ludowe na Ukrainie. Prywatną czy pobudkami natury ideowej? A może i tym i tym? Był krwzszalowskim „pozytywniakiem” o wy sokim stonnou uświadomienia społecznego czy też mówiąc słowami Czeszki „opolem, bandziorem i zdrajca”? Z perspektywy historii nie ma to najmniejszego znaczenia. I żadna miara nie umniejsza niezaprzeżalności postępowego charakteru ludowego powstania na Ukrainie. Tyle na marginesie sztuki historycznej myślenia, pod adresem tych, którzy w imię świętej miłości dla prawdy historycznej, widza wokół siebie wyłączenie pomniki i baszkwile.

Najgorzej jest jednak przed nami — to znacz ewentualność ekranizacji Trylogii. Je stem absolutnie przeciwy i to z wielu względów. Trylogia jest dziełem, którego zasadnicza wartość artystyczna spoczywa w piszczyźnie bar excellence literackiej. Jeśli chodzi o kunst słowa, które jak powiedział pięknie Klaczyński — może być przestrzeżoną, barwą, zapachem — wszyskim — nie ma sobie równego w polskiej literaturze. Odarty z magii niedoścignionego stylu, urzekającej narracji ironicznej, niefraszobliwej i serdecznej zafaszy, świat Sienkiewicza okazał się płaski, ubogi i szary. Jak przeniesie na ekran postać Wołodyjowskiego by oddać jej wielkość i śmieszność zarazem? Trylogia i jej bohaterowie żyja w słowie i poprzez słowa. Można by oczywiście, zadowolić się schematem filmu czysto przygodowego polskiego westernu, gdzie szlachetny szeryf Skrzetuski walczyłby w imie prawa i sprawiedliwości z dziełkim wazką Bohunem, ale przecież w warunkach narodowej celebrji i pryncypialności, jest to praktycznie niemożliwe.

Oczywa duszy widze już twórcza działalność speców od historii i poprawiania nieścisłości, rzeczniców intelektualnych ambicji i aspiracji. W ich rekach, krusza rzecz wistóść dzieła sztuki roztrzas ka się w kawałki jak leb Tatarzyna pod niechwybnymi ciosami pana Michała.

Jak słusznie zauważył z

Krakowa, Jan Masłowski — po co podejmować próbe, ma jaca z góry nikie szanse sukcesu.

Ekranizacja Trylogii wymaga ogromnego wysiłku produkcywnego i finansowego, niewspółmiernego z dajacym się przewidzieć efektem artystycznym. Nie dysponujemy ani odpowiednimi środkami technicznymi ani doświadczona w tej dziedzinie kadra realizatorska, ani scenarzystami zdolnymi zreczenie przykroć powieść do wymagań ekranu,

ani wreszcie właściwym zespołem aktorskim! Jedna z przyczyn klęski „Popołów” był wszakże fatalny dobór aktorów. Holoubek nie zagra przecież Skrzetuskiego, Łapicki — Bohuna, a Hanuszkiewicz — Wołodyjowskiego, nie ratuje sytuacji. Zmitygujcie się więc waszmościowie. Ostawcie pana Henrykowe pisanie w spokoju i zabierzcie się do uczciwej roboty, do jakiegoś dobrego, współczesnego filmu.

KRONIKA Anty telewizyjna

KANIKULY C.D.

Katowice otrzymały nowe studio, ale katowickie programy rzadko kiedy dociera ja do nas bez uporczywych zakłóceń. To widocznie stan techniczny przekazu wymaga poważnej interwencji. I wobec tego „Autostop” z cyklu — „Tele — Variete” — nie może być poddany pełnej ocenie właśnie ze względu na zakłócenia. Śpiew przymominal zdarta płytę słyszana przez zardzewiała tube gramofonowa. Scenariusz był pomyślny wcale dorzecznie choć nastroczal, przynajmniej w tej realizacji, zbyt wiele dowolności, właściwie młściło się w nim wszysko. Wsłólcuże wykonalowom, którzy w czasie przedstawienia musieli się dowiedzieć, że ich wysiłki niszczone sa przez sławetne usterek.

Lekkoatletyka i piłka nożna dostarczyły kibicom niewatpli wie duzo emocji, a kierownikom programowym TV znacz nie ułatwiły zycie. Poniedziałek nie przyniósł kolejnego spektaklu w ramach festiwalu teatralnego z powodu, jak wolno przypuszczać, urlopow teatranych tradycy nie przypadałacych wszedzie na ten sam miesiac. Zamiast tego otrzymaliśmy powtórzenie „Wiele halasu o nic”. Wy pada jeszcze raz zauważyć, że Szekspir jakoś nie bardzo młścił się na malym ekranie, przymominając o jego — małego ekranu — możliwościach i jednocześnie ograniczeniach czyli o specyfice, choć u nas takiej czy innej specyfiki nie lubi się brać pod uwagę, a takie postępowanie najchet-

niej określa się mianem eksperymentu. (Nie tak dawno przecież Wojciech Siemion za decydował, że wystarczy wziąć kilka opowiadań, by stworzyć z nich przedstawienie. I spuściwał, o czym pisał mój Szanowny Zastępca).

No wiec były magazyny i powtórzenia: „Stawka większa niż życie”, „Divertimento C-moll”... itd. Powtórzenia sa czymś zrozumiłym, zwłaszcza jeśli chodzi o pozycje war tościowe. W dodatku przybywa telewizorów, więc niby wszysko w porządku. Ale programy montowane z powtórzeń, to całkiem inna kwestia.

Sołtys Kierdziołek jeździł do Rumunii, jednak mogłoby to być jego prywatna sprawa. Więjsza odmiana wiechow skiego pana Plecyka jakoś nie była zabawna.

„Melodie ewgąńskiego tabo ru” z Katowic w opracowaniu znanego poety i cyganologa Jerzego Ficowskiego dostarczyły autentycznego zadowolenia. Program podano w sposób bezpretensjonalny, pod stawe stanowiły melodie i tańce z wstawkami z poetyckich tekstów Panuszki.

Przy tej okazji, warto sobie powiedzieć, że należy za łować, iż TV zbyt rzadko się ga do folkloru zarówno polskiego jak i „mniejszościowego”. Nie wykorzystuje też amatorów. Radio prowadziło kie dyś (a może i prowadzi?) audycje „Mikrofon dla wszyskich”. Czasem amatorzy mają więcej wdzięku niż pseudo zawodowcy, których tyle bierz udział w rozmaitych imprezach rozrywkowych.

Program rozrywkowy z Berlina polegał na doskonałe zrobionym filmie według stan dardów zachodnich. Poza dobra robota nie w nim jednak nie zwracalo uwagi.

Proszę Państwa, sierpień się kończy, może więc przestaniemy być, jak to trafnie nazwał „Szpilki”, sierpień n i k a m i ?!

Jan Huszczyński



O FILMACH DOBRZE I ZŁE

Francusko-włosko-japoński film „KIM PAN JEST DOKTORZE SORGE?” oczekiwany był u nas z dużym zainteresowaniem. Autentyczna postać Ryszarda Sorge zyskała sobie już wcześniej duża popularność dzięki nieocenionemu „Przekrojowi”, który zamieścił opis jego niewiarygodnie burzliwego, niebezpiecznego, pełnego przygód i karkołomnych czynów życia. Poznaliśmy wtedy dr Sorge, jako jedną z najbardziej fascynujących postaci okresu II wojny światowej, człowieka obdarzonego niezwykłą osobowością, inteligencją i sprytem. Ryszard Sorge — syn Niemca i Rosjanki, doktor socjologii, oficjalnie — dziennikarz i pracownik ambasady niemieckiej w Japonii, był w rzeczywistości agentem wywiadu radzieckiego. Był jednym z najbardziej genialnych szpiegów naszych czasów którego działalność wpłynęła w pewnej mierze na koleje ostatniej wojny. Imponująca osobowość dr Sorge budzi tym większe zainteresowanie u współczesnych, że tosy tego otoczone sa tajemniczością. Niektóre fakty z życia tego szpiega do dziś pozostają zagadką. Zyciorys dr Sorge sam — bez żadnych upiększeń i udziwnień — układa się w pasjonującą opowieść przygodową trzymającą w napięciu, jak najlepszy kryminał i przejmująca, bo prawdziwa. Mówić o Ryszardzie

Sorge — to równocześnie mówić o wielkiej polityce tamtych czasów. Z nią nierozdzielnie związana była jego działalność. Nie sposób ocenić jego czynów, jeśli nie dokonana syntezy historycznej wypadków drugiej wojny, jeśli nie szuka się sprężyn wprawiających w ruch ówczesną politykę.

Pozornie wydawałoby się, iż nie łatwiejzego, niż nakręcić film o doktorze Sorge, że to temat „samograj”. Nie podobnego, francusko-włosko-japoński film dostarcza daleko mniej wrażeń niż zwykła, oszczędna publicystyka. Jego twórca nie umiał się zdecydować, co właściwie chce pokazać widzowi. Czy zaprosić go na emocjonujący film przygodowy — rozrywkę osnutą na autentycznych faktach, czy też apelować do jego intelektu, zmusić do doszukiwania się sprężyn ówczesnej polityki, do oceny sytuacji z dystansu lat. Rysowałoby się też drugie ambicje rozwiązania tematu: postawienie wszyskiego na osobowość Ryszarda Sorge, stworzenie filmu psychologicznego o próbnym rozgrzeżeniu tajemnicy psychiki człowieka wyjątkowego, współtwórcy historii. Byłby to film, w którym pierwsze skrzypce grałby aktor odtwarzający postać dr Sorge. Jego gra musiałaby być równie fascynująca i genialna, jak fascynujący i genialny był Sorge. Film

nie zdecydował się na żadne z tych rozwiązań. Albo raczej — próbował dać widzom namiastkę każdego z nich. Wstępne założenie twórców było chyba takie, że będzie to widz masowy i mało inteligentny, że wszysko trzeba mu będzie dopowiedzieć do końca i włożyć łopatą do głowy: bieg wypadków, psychikę bohatera i wielką politykę. Postanowiono też skłócić widza nieco odbiorce — stąd sceny przypominające landrynkowe romanse. Ale najgorsza jest w tym wszystkim postać samego dr Sorge — spłycona, zrobiona na tuzińkowa. Aby sprostać tej roli trzeba było naprawdę znakomitej gry doskonałego aktora. Niestety — nie dał nam jej Thomas Holtmann, który w filmie najbardziej wygląda na amanta, zwykłego bawidamka niż szpiega o wielkiej indywidualności. Kto nie znał przedtem lasów Ryszarda Sorge, wyjdzie — być może — z kłaniasatysfakcjonowany dzięki atrakcyjności nawet tak ukazanych faktów, uzupełnionych własną świadomością historyczną. Dla bardziej wybrednych widzów polecam jednak lekturę starzych „Przekrojów”, zamiast dwóch godzin w kinie, Na pewno więcej skorzystają.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

LEGENDA I PRAWDA O ŻYCIU HERMANNA BROCHA

Ostatnio ukazały się w języku niemieckim dwie monografie poświęcone życiu i twórczości Hermanna Brocha. Wiele faktów z jego życia było dotąd albo nieznanymi albo przedstawianymi fałszywie, zwłaszcza jeśli chodzi o jego lata pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Hermann Broch, którego krytycy literatury i historycy literatury stawiali w jednym rzędzie z pisarzami tej miary co Kafka, Joyce, Proust, Musil, był postacią niezwykłą.



Urodził się w roku 1866 w bogatej rodzinie przemysłowca, żydowskiego pochodzenia. Jego ojciec, właściciel fabryki tekstylnych ok. 1900 roku był milionerem. Hermann otrzymał staranne wychowanie i miał kontynuować zajęcie swego ojca. Wykształcił się na inżyniera włókiennika i w tym zawodzie okazał się bardzo zdolny, dokonując nawet jakiegoś ważnego wynalazku w zakresie włókiennictwa. W roku 1908 Hermann przejmując jedną z ojcowskich fabryk. Ale o to w życiu Hermanna Brocha zaczynają się zmieniać. Budzą się w nim głębokie zainteresowania dziedzinami nie mającymi nic wspólnego z przemysłem, włókiennictwem i interesami. Jako

wolny słuchacz zaczyna uczęszczać na wykłady filozofii, psychologii i fizyki prowadzone na wiedeńskim uniwersytecie. Uczy się łaciny. Kupuje bibliotekę składającą się z 3.000 tomów. Zaprasza do swego domu profesorów matematyki i filozofii, zaprzyjaźnia się z wiedeńskimi pisarzami.

Po pierwszej wojnie światowej interesy Brochów zaczynają się pogarszać. W roku 1927 stary Broch sprzedaje fabrykę. Hermann uwolniony od zajęć zawodowych, wówczas 41-letni, zaczyna prace nad swym pierwszym dziełem pisarskim powieścią trylogią pt. „Lunatycy”. Po wieści odzwierciedlającej nie ma w sposób encyklopedyczny europejskie nurty intelektualne epoki „Schlafwandler” (Lunatycy) ukazywała się drukiem w latach 1930-32 w Zurychu. Książka przynosi Brochowi wiele uznania wśród pisarzy, ale ogólnym zainteresowaniem się nie cieszy. Broch, którego zasoby finansowe topniały z każdym rokiem, popada w biedę. Próbuje bez sukcesów, pisać dla filmu i teatru.

Po „anszlusie” Austrii zostaje aresztowany. Po trzech tygodniach odzyskuje wolność i wyjeżdża do Anglii. Pracuje nad nową powieścią pt. „Śmierć Wergiliusza”. Jest niemal bez grosza. Dzięki pomocy Tomasza Manna przenosi się do Stanów Zjednoczonych. O tym okresie życia pisarza utrwala się legenda, że powodziło mu się świetnie. W istocie otrzymywał bardzo skromne wsparcie. Mimo niesłychanie ciężkich warunków materialnych pisze naukowe dzieło pt. „Massenpsychologie” i kończąc powieść „Śmierć Wergiliusza”. Książka ukazuje się drukiem w 1945 roku w Nowym Jorku. W roku 1950 Tomasz Mann wysuwa Brocha do nagrody Nobla. Nie otrzymał jej Broch, jak nie otrzymał żadnej nagrody literackiej.

W ostatnich latach swego życia Hermann Broch pracuje aż do kompletnego wyczerpania, nie

raz po 18 godzin na dobę. Rankiem 30 maja 1951 roku znajduje go niezwygłego na podłodze w jego mieszkaniu. Hermann Broch zmarł na atak serca.

Dopiero po jego śmierci okazało się, w jakiej żył biedzie i jak był zadłużony. Aby spłacić dług trzeba było sprzedać jego bibliotekę, ponadto wszystkie dochody do 1952 roku z książek Brocha poszły również na spłatę długów. Zadnemu ze swych przyjaciół Broch nie uskarżał się na swą biedę. Nie chciał innych zajmować swymi troskami.

POCZĄTKI TELEWIZJI W GRECJI

Ateny należały do niedawna do jednego z rzadkich miast europejskich nie posiadających telewizji. W mieście tym nie widziało się na dachach domów telewizyjnych anten. Opóźnienie to powstało nie tyle na skutek trudności technicznych, czy finansowych, ile z powodu sprzeczności, pomiędzy interesami politycznymi, ekonomicznymi i kulturalnymi, trwającymi przez szereg lat.

Ostatnio Narodowy Instytut Radia Greckiego podjął intensywny wysiłek w celu wprowadzenia w kraju telewizji. Już we wrześniu ubiegłego roku rozpoczęła pracę eksperymentalna stacja nadawcza. Jej programy składały się jednak głównie z filmów dokumentalnych i reportaży sprawozdawczych z zagranicy, głównie z Francji. Po pierwszych osiągnięciach grecka telewizja zaczęła nadawać własnych regularnych już audycji. Od tego momentu wzrosła w Grecji gwałtownie sprzedaż telewizorów. Obecnie projektuje się dalsze rozszerzenie sieci stacji nadawczych i przekazywanych, tak aby objęły one cały obszar kraju. Pracownicy Narodowego Instytutu Radia Greckiego (a instytucja ta ma monopol w sprawach telewizji) przewidują, że w przyszłym roku będzie w Grecji ok. 200 tys. odbiorników telewizyjnych.



BYĆ ŁADNA — TO JUŻ NIEMODNE

Mireille Darc, jedna z bardziej popularnych ostatnich aktorek francuskich nie jest typem klasycznej piękności. Jest

ZABAWA W NEKROLOGI

Angielski pisarz Oberon Waugh, dwudziestoletni syn znanego, zmarłego niedawno pisarza Evelyn Waugh, postanowił w ciągu jednego tygodnia zamieszczać w „Daily Mirror” nekrologi sławnych ludzi, obecnie żyjących. Twierdzi on, że robi to dlatego, aby osoby te widziały już teraz co będzie się o nich mówiło i pisało kiedy umrą. Oto np. jak wygląda nekrolog słynnej modelki Jean Shrimpton, cieszącej się zresztą jak najlepszym zdrowiem: „Obecnie kiedy Shrimpton opuściła ten świat, musimy się pocieszyć myślą, że właściwie nigdy do niego naprawdę nie należała. Jedyną jej pasją, poza interesowaniem się własną osobą i zwierzętami z jej farmy, było chcieć pochłaniać ilustrowanych magazynów. Potrafiła je czytać jednocześnie w ilości około dwudziestu”.

URBANIZM PARYSKI

Bardzo ciekawa wystawa poświęcona urbanistycznemu rozwojowi Paryża w okresie dwóch tysięcy lat, zorganizowana w paryskiej galerii Mansart. Zróżnicowano tu bezcenne plany, rysunki, projekty, makietki, książki, rozprawy, fotografie, M.in.

smukła, ale ma nieco za duże usta, krótki nos, niezbyt duże oczy. A tymczasem kobiety jej zazdroszą, mężczyźni uwielbiają. Gdy w filmie „Gallia” wystąpiła ze sztucznymi piegami, salony piękności zaczęły

pokazano relacje z wizyty Ludwika II Andegaweńskiego, dwa wielkie obrazy ukazujące burzenie domów przy moście Notre Dame i moście au Change. Wiele miejsca poświęcono przebudowie Paryża w dobie Hausmana, gdy liczba ludności podskoczyła nagłe do miliona i gdy znacznie przebudowano wiele ulic. Ciekawe są plany dotyczące Paryża przyszłości. Zabawny szczegół: gdy Ludwik XIV chciał Paryż „upiększyć” (jak wtedy mawiano) przez zbudowanie wielkiego placu publicznego, Intendentura budynków otrzymała aż 120 różnych projektów dotyczących tej inwestycji. Król odrzucił wszystkie, gdyż nie rozdzielił się na burzenie budynków zamieszkałych, których wymagała realizacja owych planów. Za miast tego rzucono projekt stworzenia placu na peryferiach miasta, w miejscu pustym, niezamieszkanym. Tak powstał plac Concorde, feden z punktów centralnych dzielnicy.

MICHEL POLNAREFF — JESZCZE JEDEN FRANCUSKI TRUBADUR

Po błyskotliwej karierze Antoine'a, obecnie inny piosenkarz wstępuje w jego ślady. Jest nim Michel Polnareff. Ma 25 lat, wygląda jak

średniowieczny trubadur, karierę piosenkarza zaczął śpiewając na ulicach Montmartre'u. W końcu 1965 roku zjawiał się w jednym z wydawnictw płyt. Był błądliwy, szczupły, o długich włosach, przyszedł w zbyt dużych butach, a na plecach miał przewieszoną starą gitarę. Dzięki wsta

łowiennictwu swego przyjaciela, który pracował w tym wydawnictwie, zgodzono się na nagranie płyty. Polnareff zaś śpiewał piosenkę o „Lalce, która mówi nie”. Piosenka zrobiła karierę. Płyte sprzedano w ilości 400.000 egzemplarzy. Michel Polnareff staje się postacią niezwykle popularną. Zamierzono, że jest podobny do pisarza, Sagaa.



tuja nad projektami nowych dzielnic, pozwolono im nawet wypowiedzieć na ten temat swoje zdanie. Ba, czasami uwzględniano ich uwagi. Nic dziwnego, że patrzy teraz na nowe dzieła, a my za to będziemy mieli niespodziankę.

PIĄTEK

Tak więc dowiedzieliśmy się ostatecznie, że rozpoczęta została przebudowa centrum miasta — śródmieścia, obszaru objętego ulicami: Narutowicza, Targowa, Główna i Mickiewicza. Śródmieście, to niebagatelny szmat ziemi, zamieszkały przez 263 tysiące ludzi. Długo toczyły się dyskusje nad wyborem pokonkursowych koncepcji i przez cały ten czas długi rzeczą była owiana gęstą mgłą tajemnicy. Ani mowy, by wyduśić z Wydziału Architektury jakiegokolwiek wiadomości na temat planów, projektów, zamierzeń. Dopiero w ostatnim miesiącu dzienniki opublikowały wiadomości jak będzie wyglądało nasze śródmieście za ileś tam lat. Trzeba dużo wyobraźni, by domyślić się sobie na podstawie tych informacji i szkiców jak to będzie. A zresztą, po co sobie wyobrażać? Zobaczymy kiedy będzie gotowe. W ten sposób sprawa, która tak bardzo interesuje wszystkich łodzian, „przeszła obok”. Mówi się, że warszawiaczy bardzo kochają swoje miasto. Nic dziwnego, uczestniczył w jego budowie, dysku-

SOBOTA

Dla nas Kongres Kultury odbędzie się dopiero w październiku, dla organizatorów zaś — już w październiku. Organizacyjne prace przygotowawcze do tej gigantycznej imprezy trwają i są w pełnym toku 40 delegatów i 15 zaproszonych przez ministra na Kongres gości otrzymało, poprzez Wydział Kultury, ankiety, które po wypełnieniu powrócą do Warszawy. Ankieta taka, to istny skarb, albowiem wpisane jest na niej miejsce w hotelu, autokarze, na imprezach, na Kongresie. Obrady kongresowe odbywać się będą w Teatrze Wielkim, a delegacja łódzka zasiadzie: na parterze w rzędzie 12 i 13, na II balkonie w rzędzie 3 i 4 oraz w amfiteatrze. W rzędzie 16. Co oczywiście nie będzie miało żadnego wpływu na przebieg obrad.

T. WOJ.

POLONICA

PAMIĘCI MORSTINA

„Neue Zürcher Zeitung” (z 16 czerwca br.) przynosi wspomnienie o zmarłym w Warszawie pisarzu — Ludwiku Hieronimie Morstinie. Dziennik podaje najważniejsze dane biograficzne, a następnie omawia prace literackie pisarza, zwracając głównie uwagę na jego dramaturgię. Warto wspomnieć, że właśnie w Szwajcarii gra no chętnie scenicznie utwory Morstina, a „Obrona Ksantypy”, wystawiona przed dwoma laty w Lucernie, cieszyła się dużym powodzeniem. Wspomnienie kończy się słowami: „Wraz z Morstinem odszedł od nas pisarz i rzecznik humanizmu, pełen dobroci i miłości”.

UZNIANIE DLA JERZEGO GROTOWSKIEGO

W rozmowie ze współpracowniczką „Nouvelles Littéraires”, Colette Godard, mówił dyrektor francuskiego Centre Dramatique de l'Est ze Strasburga, Hubert Ginoux o metodach wyuczawczych, stosowanych w prowadzonej przy jego teatrze szkole: „Nie możemy ignorować Brechta i Grotowskiego. Właśnie Grotowski opracował nową technikę gestu i głosu, która kompletnie odświeża sztukę teatralną. Wysłałem doń zresztą na stałe dwóch moich profesorów, by się nauczyli tej techniki i przystosowali ją do temperamentu aktorów francuskich”. Centre Dramatique de l'Est występuje przez cały czwerek gościnnie w teatrze paryskim „Athenée im. Louis Jouvet”.

SENSACYJNE ODKRYCIE

Jak donosi „Journal de Genève”, polska historyczka sztuki, Anna Szymańska, odnalazła w Holandii przy sposobności badań nad dziełem Van Gogha, zupełnie nieznaną rysunkami genialnego artysty. Chodzi tu o trzy teki małego formatu, z rysunkami robotniczymi ołówkiem i piórkami. Pierwsza teka zawiera studia zwierzęce, druga sceny wiejskie, trzecia szkice z życia codziennego. Żaden z tych rysunków nie jest pracą szkolną, wiele z nich zapowiada już — przyszłego wielkiego artystę. Dotychczas uważano, że Van Gogh rozpoczął wielką swą twórczość dopiero od 27 roku życia, a przedtem robił tylko kopie mistrzów. Odkrycie naszej rodaczki obala to przypuszczenie i wykazuje do niesiość pierwszego okresu w twórczości Van Gogha, tj. z lat 1869-1873.

„SOWIECKI EKRAŃ” O GUSTAWIE HOLOUBKU

Pisząc o naszym czołowym aktorze, radziecki krytyk przypomina czytelnikom o drodze Holoubka do filmu. Bedac jeszcze aktorem scen katowickich — Holoubek trafił na plan, nie wiedząc jaka rolę będzie grał. Dopiero gdy dokonano charakterystyki, ku jego zdziwieniu okazało się, że ma kreować Felksa Dzierżyńskiego. I tak to się zaczęło... Dziś Holoubek jest jednym z najpopularniejszych aktorów. Zna ją i cenią widowie Moskwy, Leningradu, Kijowa i innych miast ZSRR. „Widzowie dobrze znają — pisze „Sowiecki Ekran” — te twarz, trochę melancholii na, zamysłona, zwrócona do świata uczuć osobistych, pełna wspomnień, rozterek”.

Tenże dwutygodniowy zamieszka wiadomość, że na ekrany kin ZSRR wechodzi film Aleksandra Forda „Pierwszy dzień wolności”.

POLONICA

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

W samo południe upalnie go sierpnioowego dnia w Austin, w stanie Teksas, młody człowiek dokonywał nikogo nie dziwiących zakupów. Sprzedawca za pakował kilka pudełek amunicji karabinowej, a student, wysoki, barczysty, o dobroduszej i trochę tepawej twarzy wypisywał czek na poważ na sumę. Po co panu tyle amunicji? — spytał sprzedawca. — Chcę polować na świnię, odrzekł młody człowiek. Odpowiedź nie wydawała się dziwna, kilkanaście kilometrów za miastem w gestych zaroślach roi się od dzikich świń i 25-letni student budownicwa Charles Joseph Whitman mógł być jednym z licznych amatorów polowania.

Wkrótce potem Whitman od wiedział jeszcze dwa sklepy by kupić karabiny i jeszcze większą ilość amunicji. Cały ten arsenał zapakował w plecak i worek po spiworze, niepostrzeżenie dla nikogo wniósł na wieżę górującą nad miasteczkiem uniwersyteckim. Stąd rozpościera się oświetlony przez dziennikarzy widok na całą okolicę, uliczki miasteczka uniwersyteckiego leżą jak na dłoni. Whitman był na tej wieży wraz z bratem przed 10 dniami. Wtedy wiele czasu poświęcił na dokładne przestudiowanie tego czarującego widoku. Dzisiaj nie miałby już na to czasu.

Najpierw Charlie rozłożył wokół siebie swój arsenał: dwa karabiny marki „Remington” — 700, — jeden karabin USM, jeden szybkostrzelny karabin Savage, pistolet marki Smith and Wesson, mały browning i pistolet Luger, a prócz tego sztylet i noże myśliwskie, lornety sniperskie i morskie i dziesiątki pudełek z amunicją. Whitman wszystko układał z pedantyczną dbałością, w z góry przemyślanym porządku: każdy karabin leżał obok pudełek z odpowiednią amunicją, pistolety czekały przy drzwiach pomieszczenia znajdującego się pod zegarem wieżowym.

Wreszcie Whitman zaczął spełniać to zadanie, które sam sobie wyznaczył: strzalił spod wieży natychmiast wywołując alarm w mieście, postawił na nogi całą miejscową policję ale jeszcze przez dłuższy czas nie uwładowił mieszkańcom miasteczka uniwersyteckiego śmiertelnie niebezpieczeństwa, jakie każde mu z nich zagrażało. Z 100-metrowej wysokości Whitman na zimno, z niewzruszonym spokojem, wybierał w zaułkach miasteczka swe śmiertelne ofiary i nim policja zdolała się z nim ugnąć zastrzeżił 13 osób, raniąc dalszych 44.

Ale nie były to jego pierwsze ofiary. Wchodząc na wieżę był już dwukrotnym mordercą, realizując swój koszmarny zamiar pobicia światowego rekordu morderstw, urzędnie zabił już żonę i matkę.

Później socjologzy ukuli czy może zapożyczyli od dziennikarzy określenie „krwawy Amok” na oznaczenie zjawiska, które przeciętnym ludziom wydaje się zupełnie niepojęte, chociaż Ameryka

zna je aż nazbyt dobrze. Zaprezentowały je popularne filmy takie jak „Sniper” czy „Otwarte miejsce”, przedstawiające historie człowieka opanowanego obsesją masowego mordu. Ale nawet fantazja goniących za fantazją reżyserów nie nadała za rzeczy wiście. I tak w 1949 roku Howard Unruh w ciągu 20 minut zastrzelił 13 osób. Niejaki Starkweater w 1958 roku w czasie szaleńczej jazdy przez Nebraska i Wyoming zamordował 10 osób w przeciągu trzech dni. Zaledwie na miesiąc przed wypadkami w Austin, w Chicago Speck, zamordował 8 nielegniarek.

A kim był Whitman? Na Uniwersytecie uważano go za przykładnego chłopca, całej okolicy matki mogły stawić go za wzór swoim pociechom. Słynął jako zarliwy ministrant, od 13 roku życia był harcerzem, potem służył w osławionych Marines i wreszcie na uniwersytecie w Teksas, osiągając przeciętne wyniki, rozpływał się w szarej

zawsze nieco zahukana w jego obecności robiła porządki a Whitman pisał na maszynie: „Nie rozumiem co się ze mną dzieje, co każe mi pisać te słowa. Władza mna strach, mam straszne bóle głowy, je stem gotów umrzeć. Po mojej śmierci domagam się sekcji i ustalenia czy byłem niernormalny psychicznie”. I na następnej kartce papieru: „Zamierzam zabić moją żonę, nie chce ażeby przeżyła to wszystko co nastąpi kiedy zaczną działać...”

W parę godzin później zabijawszy żonę i matkę, która nie tylko zaszytowała ale do bit jeszcze z „Lugera” strzałem w potylicę Charlie napisał już ręcznie na trzeciej kartce papieru: „Mam nadzieję, że moja matka poszła do nieba, a jeśli nieba nie ma, przynajmniej już nie cierpi. Kochałem moją matkę całym sercem. Życie nie jest warte złamanego szelaga”.

Po tem trzeba było spakować arsenał, dokupić amunicji i jeszcze w plecaku, jak przy-

li się w oknach i na balkonach. 18-letnia Claire Wilson w ósmym miesiącu ciąży trafiona została w brzuch i w szpitalu urodziła martwe dziecko ze zmiądzoną czaszką. Jej kolega szkolny, który podbiegł jej na pomoc, padł martwy. Obok dogorywał student matematyki z Anglii, Robert Boyer. W agonii leżał śmiertelnie ranni Rutt, Ashton, Speet, Karr. Czołgał się z ciężką raną w piersi szukając ukrycia przed śmiertelnymi kulami, reporter AP Heard.

W 4 minuty po pierwszym strzale z wieży, cała policja Austinu była zaalarmowana i z zawodzeniem syren do miasteczka uniwersyteckiego zjeżdżało 100 policjantów, 30 patroli samochodowych. W ślad za nimi przybyli ludzie z FBI i strzelcy wyborowi z Texas Rangers.

Policja i wojsko otworzyli gwałtowny ogień, chcąc w ten sposób zmusić Whitmana do zaprzestania śmiertelnej strzelaniny. Ale Charlie nie zważał na ten ogień, a ukryty za kamienną balustradą nadal raził w ogromnym zasięgu cały okoliczny teren ze swych sniperskich karabinów. Wtedy widząc niemożność zlikwidowania oszalełego mordercy z zewnątrz wieży, trzech policjanci — McCoy, Day i Martinez zdecydowali się na podcięcie rzykownej młoty. Wraz z nimi poszedł 40-letni cywil Crum, który jak później oświadczył, nigdy w życiu nie wystrzelił z pistoletu”.

Odważna czwórka dobiegła na 27 piętro winda a potem zaatakowała Whitmana: wywiązała się krótka zacięta walka, w której przewagę miał oczywiście Whitman ukryty i zdecydowany na wszystko. Mimo to o godz. 13.24, w 96 minut po pierwszym strzale oddanym z wieży, nie zważając na śmiertelnie niebezpieczeństwo, Martinez zarzykował brawurowy atak i zastrzelił z pistoletu Whitmana, którego radio i do datki nadzwyczajnie całej amerykańskiej urasy już okrzykiwały światowym rekordzistą w dziedzinie morderstwa.

A reszta jest polityka: bo trzeba było teraz udowodnić, że dobroduszny Charlie mordował pod wpływem głębokich przeżyć uczuciowych, że nienawidził oca, że działał pod wpływem patologicznych zmian w mózgu. Wszystko to, trzeba było koniecznie udowodnić po to, by obalić natychmiast narzucające się każdemu wnioski, iż prawo do nieograniczonej swobody w nabywaniu broni zagraża społeczeństwu na równi z morderczą edukacją jakiejś młodzi Amerykanie (tacy jak Oswald i Whitman) nabywają w szeregach Marines.

A jeśli socjologzy i psychiatrzy używają w stosunku do takich jak Speck i Whitman określenia — „krwawy Amok”, to czyż nazwa ta nie pasuje jeszcze bardziej do pewnych amerykańskich generałów i polityków?

Spokojny Amerykanin

masie studenckiej. Był tydow.

Gdy dramat w Austin dobiegł końca psychologzy, socjologzy i psychiatrzy zaczęli rozpaczliwie szukać przyczyn i z nich wywodzić przerażające skutki. Wtedy świat dowiedział się, że Whitman przeżywał dramat bo jego ociec kałował matkę. Ale i sympatyczny Charlie stał się nad nią zżerał i znechęcał się nad nią z upodobaniem. Uwielbiał broń, upodobanie to wpoił mu jego własny ojciec. Uwielbiał przemoc fizyczną. Był za nią karany w wojsku. Uwielbiał zabijanie. Godzinami mógł po łowić na wiewiórki, które zabijał strzałem niezawodnie trafiającym w oko. Wreszcie uwielbiał karate, niebezpieczną formę walki mogacej skończyć się śmiercią przeciwnika.

29 marca Charlie zjawił się u psychiatry, lekarza uniwersyteckiego dra Heatly, i zalił mu się, że dręczony go myśl by wejść na wieżę uniwersytecką i stamtąd strzelać do ludzi. Dr Heatly dobroduszenie wyglądającego studenta poklepał po ramieniu i przepisał mu pigułki przeciw napadom depresji. Gdy Charlie już nie żył i miał na swym sumieniu kilkanaście morderstw, wybitny psychiatra z Teksasu oświadczył, że nie mógł zaniepokoić się owa wizyta 25 marca ponieważ z takimi doległymi wódciami zjawia się u niego do kilku studentów dziennie.

Poprzedni wieczór Charlie spędził wraz z żoną, Kathy

stała na amerykańskiego turystę, zamieścić paczki gumy do żucia, puszkę soku z grejfrutów, przygotować kanapki, nie zapomnieć o tranzytorowym radiu i rolce papieru toaletowego. Bagaż był ciężki, o to dlatego Charlie nie mógł wziąć jeszcze trzech karabinów i dwóch pistoletów jakie posiadał w domowym arsenał.

Około godziny 11 Whitman ubrany w dżinsy i koszulke polo wjechał winda na 27 piętro, a potem wniósł po kretach schodach swoje ciężkie pakunki aż na 30 piętro. Tu spotkała go recepcjonistka p. Townsley. Whitman zmiądzł jej głowę uderzeniem kolby karabinu i ciało ukrył za sofą. W chwili później, gdy już układał swój śmiertelny ładunek, natknął się na niego zwiadowca wieży i Whitman otworzył do niego ogień z pistoletu. Zabił 16-letniego chłopca i 19-letnią dziewczynę. Dwie dalsze ranne osoby z trudem wyczołgały się z kretowych schodów i na 27 piętrze zaczęły wzywać pomocy.

O godz. 11 min. 48 Charles Whitman zaczął ostrzeliwać z karabinu rojące się od przechodniów uliczki uniwersyteckiego miasteczka. Spod wieżowego zegara padał teraz strzał za strzałem. Sniperskie mistrzostwo Whitmana sprawiło, iż niemal każda kula niosła śmierć lub ciężką ranę. Ofiary swoje wybierał nie tylko w uliczkach, lecz również spośród gapiów, którzy na odgłos strzałów zjawi-

Z CYKLU PORTRETY



Rys. W. Kondek

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

DWIE MARKIZY I CZTEREJ Z TEXASU

Dużo razy już rozdzierano szaty w publicystyce na temat zamykania teatrów w sezonie letnim. Można się nawet obawiać, że pozostawienie jednego lub dwóch teatrów w stanie czynnym pozabawiliby felietonistów jednego murwanego tematu, a to w okresie ogórkowym nie błaża rzecz.

Mimo wszystko myślę, że nie ma w naszym mieście zbyt wielu tak namiętnych teatromanów, żeby przez miesiąc nie wytrzymali bez „Nocy w Wenecji” i „My fair lady”. Po tym miesiącu będziemy mieli za to trzy — cztery razy komple-

ty na widowiskach, zgodnie z regułą „popytu odroczonego”. Skoro całe biura i instytucje mogą być praktycznie nieczynne, to niech tam sobie i aktorzy zakosztują trochę polskiego lata nad Morzem Czarnym. My zaś, których los zmusił do pozostania w Łodzi, pójdziemy sobie do kina. Rodziny nie ma, czasu więcej, zje się raz dwa obiadek w mieście i już można poświęcić się rozrywce kulturalnej, jaką niekiedy bywa przecież także kino, a nawet muzeum.

Tutaj — stop — natrafiamy na pierwszy próg. Nie zjemy raz dwa obiadku. Obiadki są tylko dla rencistów, mających czas. O godzinie szesnastej lub później, kiedy wreszcie zmiętoszeni wychodzimy z biur, kurty jadłospisowe wszystkich restauracji są już przekreślone z góry na dół, w poprzek i na wkos. W „Dietetycznej” uprzejme kelnerki długo wypytują nas o zyczenia, żeby wreszcie oznajmić, że jest tylko krupnik i górkę. Nie, górkę też już nie ma. Może być jajecznica z ziemniakami. Nie, ziemniaków też już nie ma...

W niedietetycznych trochę lepiej — rumsztyków w tym kraju nigdy nie zabraknie. Jak długo jednak można bez płam na wątrobie patrzeć z bliska na rumsztyk z pieczarkami? Poprzestajemy więc na krupniku z budyniem i czekając na podanie studiuujemy repertuar kin.

Kina są czynne, prawie wszystkie. W kinach pracuje mniej ludzi, żadnych letniego urlopu, a ci co są, mogą się bez większego trudu wzięciem zastępować, co nie byłoby do pomysłenia na przykład w wypadku Skoczylas — Pola Rakusa. No to gdzie się wybierzemy?

A nigdzie. Bo wszystkie kina najpierw się umówiły, że będą wyświetlać stare filmy, które już jesteśmy gdzieś widzieli, a później jeszcze raz się umówiły, że będą wyświetlać przez całe lato to samo. Bardzo śliczna jest markiza Angelica, pięknie prezentuje okolice dozwolone od lat szesnastu, ale dwie takie markizy na jeden sierpień nikogo nie ubawią. Dwaj z Teksasu to dzielne chłopaki, ale czterech to już za dużo. Całymi tygodniami nie zmienia się nic. Czyżby ktoś puścił aparaty w ruch i wyjechał, zostawiając samą kasjerkę?

W którymś z najstarszych felietonów Wiecha rozjuszona magnifika widząc stłuczony słoik z malinowymi konfiturami, wola: malin nie ma — to i tego niech nie będzie! I buch o ziemię stoikiem agrestu. Teatrów nie ma — to i filmów niech nie będzie! Klopsików nie ma, to i górkę nie potrzeba! Jak urlop to urlop!

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z samodzielnym za „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirid 12. Zam. 2343 VIII.66. E-II